



N<sup>o</sup> 30.

Prenumerata w Warszawie:  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 25 lipca 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-  
sarstwie w osobnych kopertach:  
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

**Treść numeru.** Stanisław Hryniewicz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Biecz i jego zabytki (z dwoma drzeworytami). — Wiadomości bibliograficzne. — Odezwa do redakcyi Tyg. Illustr. — Nekrologia półroczna — Cieniom Karola Szajnochy (wiersz p. Odyńca). — Obrazki z dawnych czasów, przez Wielisława. — Szkice z życia warszawskiego (drzew.) — Szachy. — Rebus. — Przegląd teatralny. — Wycieczka na Łomnicę tatrzańską 26 lipca 1865 r. — Najnowsze odkrycia wynalazki i spostrzeżenia naukowe. — Dodat. nadzw.: Sięrota, obrazek z życia amerykańskiego (dokonczenie).

### Stanisław Hryniewicz.

Magna est hominum iactura, sed  
bonorum praeceptorum maxima.

Do zasłużonych mężów na polu nauczycielstwa w Wilnie zaliczyć wypada niedawno zmarłego Hryniewicza, który cały temu trudnemu i mozolnemu obowiązkowi poświęcony, wielce się przyczynił do udoskonalenia młodzieży w nauce języków starożytnych.

Język łaciński, najdawniejszy dyplomatyczny i naukowy, rozmaitym w Wilnie ulegał kolejom. Przed przybyciem Grodka więcej tam uważano na krasomówstwo i rymopisarstwo, aniżeli na samą naukę języków starożytnych, i dlatego brak pomocy naukowych mocno czuć się dawał. Grodek, widząc iż młodzież przybywała ze szkół do uniwersytetu z niedostatecznymi wyobrażeniami o gramatyce i filologii, urządził w 1815 r. komitet do wydawania starożytnych klasyków, który natychmiast działalność swą rozpoczął.

Z pod gruntownej więc i doświadczonej ręki wyszedł Hryniewicz, uważający, równie jak jego nauczyciel i cała zwierzchność uniwersytecka, łacińską mowę za podstawę kształcenia, w której szukać wypada wzorów smaku, dobitności, mocy i wdzięku mówienia i pisania.

Stanisław Kostka Hryniewicz urodził się 1791 roku w Stawiszczu, majątku Potockich, gdzie ojciec jego był rządcą. Troskliwi o wychowanie syna rodzice posłali go do gimnazjum podolskiego w Winnicy, gdzie byli nauczycielami ludzie tacy jak Ułyński, Styczyński, Jagiełło i wielu innych chlubnie w literaturze znanych. Ukończywszy szkoły, o własnym prawie koszcie dostał się do Wilna, gdzie zabierając lekcjami na swoje utrzymanie, wpisał się

15 września 1814 roku do pocztu uczniów uniwersytetu. Po czteroletnim ucześnieństwie na rozmaite przedmioty, otrzymał 30 czerwca 1818 r. stopień

stał nauczycielem języków greckiego i łacińskiego w wyższych klasach gimnazjum wileńskiego. Obowiązek ten pełnił gorliwie od 23 września 1819 r.

przez dwa lata i tak się w nim odznaczył, iż postanowiono przenieść go na wyższą posadę, a mianowicie na adjunkta w uniwersytecie wileńskim. Na tym urzędzie wykładał przez lat 10 Salustyusza, Terencyusza, Cezara, Plauta, Owidyusza, Cycerona i Horacego satyry. Objasniając Horacego, zaczerpywał z niego lekki dowcip i łagodną satyrę, styl zaś swój i uczniów swoich kształcił na listach Cycerona, tłumacząc się już podług tego wzoru przez całe swe życie w mowie ustnej i pisaniej.

Obok tylu zatrudnień, wydał jeszcze dla użytku młodzieży dwa pisma Plauta, a mianowicie: M. Aci Plauti Amphitrio, e recensione B. F. Schmieder. Vilnae, typis et sumptibus Josephi Zawadzki 1820. 8, str. 55. — Ejusd. Miles gloriosus, ex eadem rec. ib. 1823. 8, str. 61. Dalej przetłumaczył z niemieckiego rozprawę Hamela „O wzajemnym nauczaniu się dzieci“ i ogłosił ją w Dziejach Dobroczynności wileńskiej 1819 i 1820 w 4-ce, od str. 215. Była to praca uboczna Hryniewicza, który za główny cel sobie położył naśladować Grodka, a jeśli można zostać jego następcą. Już w r. 1822, przekładając na język polski gramatykę grecką Buttmana, napisał do niej przedmowę, w której wskazał jako powinność człowieka chcącego być pożytecznym, dopomaganie młodzieży wileńskiej, mającej zapał do greczyzny, dodając że Grodek z chwałą dopełnił tej powinności, że jego imię każdy mowy Greków i Rzymian miłośnik ze czcią wspominać będzie.



STANISŁAW HRYNIEWICZ. (Podług rysunku Józefa Marszewskiego).

kandydata w oddziale nauk i sztuk wyzwolonych, to jest w fakultecie zwanym literackim, a za postępy w naukach odebrał nagrodę pieniężną i obrany zo-

Po zaprowadzeniu w r. 1811, za staraniem tego mistrza, lekcji greckich w gimnazyjach, Hryniewicz starał się o powszechnienie znajomości gramatyki

greckiej, chociaż głównie zajmował się wykładem języka łacińskiego. W tym także czasie wypracował dla uczniów seksterna: *De syntaxi, De consecutione temporum* i t. p. Oprócz tego wykladał komentarze do Juliusza Cezara *De bello gallico*, a nadto dla korzyści uczniów wydał w r. 1830 C. C. Salustii *Bellum Catilinarium*. *Vilnae in 12, apud Marciniowski, str. 72.*

Po śmierci Grodka w r. 1825 nastąpił Hryniewicz mianowany był adjunktem literatury łacińskiej w uniwersytecie, a profesorem jej został w Muniach z Krakowa, znany ze swoich badań starożytności, który zmarł w Wilnie, prawie równocześnie z zamknięciem uniwersytetu w r. 1831.

W roku 1826, na sesji literackiej uniwersytetu dnia 15 stycznia, czytał Hryniewicz uwagi swoje nad dziełem Fryderyka Grefe: „*Antiquitatis graecae et romanae loca quaedam, e Russorum lingua et usibus illustrata.*” Pismo to nie było drukiem ogłoszone.

Gdy z woli Najwyższej zawiązano dnia 19 września 1827 roku komitet do opisania dawnych, oraz z Krzemieńca przybyłych medalów i monet, obrano między innymi profesorami uniwersytetu wileńskiego i Hryniewicz na członka do pomienionego komitetu. Po utworzeniu wreszcie, w miejsce zamkniętego uniwersytetu, akademii lekarskiej i duchownej, Hryniewicz do obu wezwany, wykladał w pierwszej Cezara i Celsa, a w drugiej Cezara i język grecki. Przystąpił w akademii lekarskiej redagował tom I-szy *Collectanea Academiae Medico-chirurgicae Vilnensis*, in 4-to 1838, typis Zawadzki, cum tabulis i otrzymał zato od przełożonej swój władzy dnia 7 lipca tegoż roku piśmienne podziękowanie.

Dla użytku uczniów medycyny wydał: „*A. Cornelii Celsi de medicina, duo libri priores.*” *Vilnae, typis et impensis T. Glücksberg, 1834 in 8-vo.* W akademii duchownej mianowany także został profesorem nadzwyczajnym wymowy łacińskiej i języka greckiego 22 grudnia 1833 r., zwyczajnym zaś profesorem 19 grudnia 1835. Główna ta szkoła duchowna, otworzona 11 lutego 1834 r., odbyła dnia tego posiedzenie publiczne, na którym Hryniewicz czytał rozprawę łacińską o potrzebie nauki literatury starożytnej, wydrukowaną na stronicach 85 dziełka pod napisem „*Otwarcie publiczne akademii duchownej.*” *Wilno, Zawadzki, 1834. 8-vo.*

Znał Hryniewicz użyteczność scholiów, komentarzy i różnych przypisów filologicznych i krytycznych; lecz przy ciągłych zatrudnieniach gramatycznych, z powodu małego usposobienia uczniów, nie mógł się zająć ogłaszaniem wykładów i objaśnieniami rozmaitych autorów.

Mówił zawsze bez pośpiechu, okrągłymi peryodami, starał się trafić do przekonania każdego, umiał nakłaniać umysły ku swojemu założeniu, tłumaczył się jasno i nauczał z gorliwością wzorowego pedagoga, co niezawsze podobało się gorącej młodzieży. Nigdy się w niczym nie unosił, zachowując zawsze tok pedagogiczny, a bardziej miłował prozę aniżeli rymy. Czuły, delikatny, ważył wszystko na szali gustu, wyszukując w swoich pismach najpoważniejszych ozdób mowy rzymskiej. W zatrudnieniach powszednich umiał przeplatać dobry gust Rzymian, z fantazją nowszych pisarzy francuzkich. Chętnie ofiarę z miłości własnej czynił, sprawiedliwą krytykę przyjmował bez drażliwości, a o wszelkich urazach zapominał. Rzadko się za dowcipem ubiegał i dlatego zawsze poważnie i z prawdą się tłumaczył. Nigdy nie był dyalektykiem, ale był gramatykiem w znaczeniu Greków i Rzymian, to jest uczyłem literatem i mężem piśmiennym, słowem filologiem. Dobięrał sobie wesołych, czułych i łagodnych towarzyszy, stronił od szorstkich i burzliwych. Sam wyrozumiały i pobłażliwy, skrzętny, dowierający, uczynny, liściowy, nie znalazł szczęścia domowego, nie będąc żonatym. Często szukał ustronia i przemieszkiwał u swoich przyjaciół na wsi, gdzie z podwojną usilnością dla dobra drugich pracował. Jako człowiek udzielający się, gościnny i przyjemny, miał wielu znajomych i życzliwych. Żył w przyjaźni z kanonikiem Markiewiczem, profesorem Jaroszewiczem, doktorem Mikołajem Podgórskim i wielu innymi; lecz najściślej i najdawniej zżyłość łączyła go z Joachimem B., który chodził z nim na uniwersytet i całkiem mu był oddany. Obszerna ich korespondencja zasługiwałaby na ogłoszenie.

Od r. 1841, to jest od chwili zamknięcia akademii lekarskiej, oddał się literaturze nadobnej; tłumaczył niektóre pisma francuzkie treści historycznej i wiele czytywał, nie szczędząc kosztów na książki, a skrzętnie zebrane zasoby piędzienne przekazał dla dalekich krewnych.

Zbyteczna czułość i drażliwość częścią wrodzona, częścią nabyta, nie mało się przyczyniła do różnych jego cierpień, które stoicznie przenosił, a rzadko się uskarżał i tylko poufnym się zwierzał. Z myślą o Bogu i dobru ogólnem, skończył życie dnia 10 grudnia 1866 roku; pochowany w Wilnie na cmentarzu zwanym Rossa.

Półwiekowy przyjaciel Hryniewicza J. B. stawia obecnie na jego grobie pomnik ze stosownymi napisami, których treścią ma być uwydatnienie zasług zmarłego.

A. F. Adamowicz.

## Kronika tygodniowa.

O Saska kępo!...

Wierzajcie mi, brała mnie dziś ochota napisać odejście do Saskiej kępy, i powstrzymałem się tylko przez wzgląd na to, że ód w ogólności nie lubię.

Bo czyliż jest miejsce więcej godne pochwały i uniesienia lirycznego?

Saska kępa całą szerokością Wisły rozdzielona jest od Warszawy, to znaczy od kurzu i pyłu ulicznego, od tych rozpalonych murów, które nagromadzają w sobie promienie słoneczne, żeby je z lichwą oddawać przechodniom, od tego rozżarzonego bruku, który pali podeszwy od butów (tak przynajmniej odpowiadają zwykle szewcy skarżącym się na nietrwałość obóvia.)

W Warszawie nie znajdziesz ani jednego miejsca, w którymby można schronić się przed tym prawdziwym piekłem, jakim zwykle w porze letniej staje się każde wielkie miasto.

Saski ogród, powiecie; ależ w Saskim ogrodzie nieraz większy kurz jeszcze niż na ulicy. Czuć tam sąsiedztwo wiecznie krzątającego się miejskiego mrowiska, i zaledwie w jednej albo dwóch alejach możesz odetchnąć swobodnie, bez potrącania się ciągłego o przechodniów.

Nad doliną Szwajcarską wznoszą się kłęby dymu tytoniowego, a w ogródkach ciągle wzywy pieczenia, zrazów i bawarskiego piwa nie mają nic wspólnego ze świeżym powietrzem. A zresztą do każdego z tych miejsc wrzekomiej przechadzki, dolatuje turkot powozów i echo ulicznego gwaru.

Mówcie więc mi o Saskiej kępie: tam sielanka i krzaki prawdziwe, a nie żerdzie drzewa naśladowane; tam karuzele i niesfałszowane prawdopodobnie mléczywo; tam niewinność w perkalikowych sukienkach spogląda napół naiwnie, napół zalotnie na pleć mężką, ogołoconą z próżnego ciężaru zwierzchniego ubrania; tam jeszcze klasyczna arfa słyszc się czasem daje i brzmia piosenki z towarzyszeniem skrzypiec, owe piosenki o których zapomniało już nasze ucho do Eldoradowych przywykłe rozkoszy; tam nie czuć ani gazu, ani węgla, ani smołowca; tam, jednym słowem, przynajmniej oddychać można.

A przypominamy to dlatego głównie, że od pewnego czasu Saska kępa poszła w zaniechanie. Ogródki krzywdę jej czynią. Może upośledzenie tej miłej przechadzki żąd bierze głównie początek, iż wejście do niej nie kosztuje. Widocznie Warszawianie są tego przekonania, że gdzie płacić każą, tam musi być za co płacić. A teraz, oprócz kilku ogrodów publicznych, przed każdą prawie kępą zieloności, zapomnianą gdzie w głębi podwórka, wznosi się budka, na której wielkimi literami wypisany wyraz *kasa*.

Zakupiwszy bilety w kilku takich kasach, możnaby niemi dopełnić studyów filologicznych, jeżeli ich komu brakuje. Tam siłaczki niemieckie, tu francuzkie piosenki, owdzie znów Angielka śpiewa i tańczy. Istny chaos i pomieszanie języków.

\* \* \*

Nie pamiętam kto i nie pamiętam gdzie prawili mi coś o teatrze ludowym. Wybrałszy jaki spory ogród, mówił mi on, a Warszawa posiada ich jesz-

cze trochę, możnaby tam naprędce letni teatr wybudować i urządzić za tańszą cenę widowiska.

Nawet pomysł ten istnieje podobno, bo wymieniano mi miejsce, tylko proszono o tajemnicę. A ja tajemnicy za nic w świecie nie zdradzę, zwłaszcza gdy nie jestem pewny że wieść prawdziwa.

Że taki letni teatr mógłby mieć niemałe powodzenie, dowodzą tego widowiska w Łazienkach, które zawsze prawie liczną ściągają publiczność.

A zważyć należy że Łazienki, jakkolwiek rozkoszne miejsce, daleko są od Warszawy i komunikacya z niemi bardzo utrudniona. Główna wina tego spoczywa na naszych miejskich omnibusach, które uwięzły się krążyć ciągle po jednych i tych samych liniach. Żaden z konduktorów ani domyśli się jechać do Łazienek podczas widowiska. I co im po tém? wiedzą oni dobrze, iż zmęczonych i zziębionych, a często sfałszonych dęszczem niespodzianie spadłym podróżnych, zabiorą z placu Trzech Krzyżów i powiozą swobodnie brukiem kostkowym.

Panowie omnibusiarze tłumaczą się z tej swojej niedbałości osłabieniem koni, które niezdolneby były wyciągnąć pod górę ciężką machinę omnibusową, zwłaszcza gośćmi napełnioną.

Ależ wszak w urządzeniach miejskich stoi najwyraźniej, żeby konie do omnibusów zaprzęgane były zdrowe i silne. Jeżeli panowie przedsiębiorcy kupują napół darmo jakieś wywłoki i zagłodzają je jeszcze do reszty przy ciągłej pracy, to nie dopełniają powinności służenia potrzebom ogółu. Nie ludność miejska wysługiwać się powinna omnibusom, ale one ludności miejskiej. W artykułach koniecznej potrzeby, a omnibusy już się stały niemi, trzeba się pilnować pewnych stałych urządzeń wygody publicznej — inaczej będzie to monopol kilku na wszystkich nałożony, co zawsze jest nadużyciem.

\* \* \*

Tę samą uwagę zwrócić należy i do tak zwanych letnich mieszkań. Coraz więcej ich mnoży się w okolicach Warszawy. Ale, nie mówiąc już nic o utrudnionej komunikacyi, która odbywać się musi za pośrednictwem dorożek, zwykle wysoki haracz nakładających, — po pierwsze potrzeby życia, jako to mięso, pieczywo i t. d., trzeba posyłać aż do Warszawy; właściciele bowiem tych zamiejskich posiadłości wynajmującym mieszkania obiecują złote góry, a nie postarają się nawet o ułatwienie im sposobności zaopatrywania się w główne wygody życia.

W ładnym ogrodzie, mniej więcej o milę od Warszawy położonym, takich letnich mieszkań mnóstwo istnieje, a piękne położenie, oraz urok jakiś do tej miejscowości przywiązany, ściągają tam na stały pobyt mnóstwo lubowników świeżego powietrza. Lecz zamieszkałszy w nim, przekonują się z własną szkodą, że samem świeżem powietrzem i lubowaniem się w romantycznych położeniach, choćby nawet historyczne stopy kiedyś po nich stapały, człowiek żyć nie może. Mięsa ani chleba niema na czas; nawet o tak zwane wiejskie artykuły dość trudno, wszyscy bowiem okoliczni właściciele wolą je odwozić lub odnosić do Warszawy, spodziewając się tym sposobem większy zysk otrzymać.

Istnieje tam wprawdzie miejscowa tak zwana restauracya, jak wreszcie i przy wielu innych ulubionych zawarszawskich przechadzkach, ale cennik jeździeń tak jest wygórowany, że pomimo najlepszych chęci, niepodobna nawet pomyśleć o płaceniu tak wysokiego jadłowego podatku.

Z tego wypływa, że każdy wyprowadzający się na letnie mieszkanie, powinienby zarazem uprowadzić się w jakie przenośne jatki lub piekarnię, bo inaczej może być zagrożony śmiercią głodową, jeżeli nie zechce patryarchalnie żywić się samem tylko mléczywem i zieleniną. Pisząc te wyrazy, staliśmy się tylko echem mnóstwa zażaleń do nas wystosowanych, z prośbą o ogłoszenie ich w kronice. Zapewne to odezwanie się nasze żadnego nie wyrze skutku i nie przyczyni się do zaprowadzenia żądanych ulepszeń; ale w każdym razie stać się ono może przynajmniej przestroją, a i to pewną korzyść przyniesie.

\* \* \*

O nowym zupełnie rodzaju przemysłu donieść wam chcemy, czytelnicy. Wprawdzie któryś z mędrców starożytności powiedział, że nic nowego pod słońcem; ale praktyka XIX wieku codziennie fałsz temu zdaniu zadaje.

Wiadomo iż węgiel kamienny oddawna w naszym mieście nabrał własności ulatniania się w drodze przy rozwożeniu, tak iż osoby interesowane zamiast korca, za ledwo trzy ćwierci niekiedy otrzymują. Różne przeciwko temu przedsiębrano środki. Skrapiano czarną powłokę węgla wapnem, aby, jak biała szata dziewicza, świadczyło o nieskalanym jego niewinności. To znów do wózków poprzyczepiano dzwonki, przypominające owego lokaja, któremu pan, ilekroć posyłał go po wino do piwnicy, przez cały czas trwania tej operacji głośno gwizdać kazał, i t. p. i t. p.

Czy środki te radykalnie złemu zaradziły — nie wiemy; ale to pewna, że epidemia ulatniania się, raz w powietrzu naszym zagnieżdżona, przenosi się, jak każda epidemia, z przedmiotu na przedmiot, i dziś po ciepłodawczym węglu, skoczyła na kraniec całkiem przeciwny, dotykając, zgadnijcie czego . . . lodu...

Cukiernicy, restauratorowie, fabrykanci piwa bawarskiego i inni przemysłowcy miejscowi, zakupują, jak wiadomo, na własną potrzebę znaczną ilość tego materiału chłodzącego. Otóż spostrzegliśmy od pewnego czasu, że rozwożące go wózki zatrzymują się co chwila przed sklepikami z wodą sodową, których teraz takie mnóstwo namnożyło się po wszystkich ulicach miasta. Wóz staje, kilka kawałów lodu niknie w przepaści rezerwoaru bufetowego, do kieszeni rozwożących wpadają piątki i dziesiątki i kończy się na tem, że właściciel odbiera o kilka funtów mniej swego towaru, który w drodze stopił się czy ulotnił.

I jak tu zapobiedz temu nadużyciu?.. Wypadałoby chyba, na wzór i podobieństwo węgla, białą powierzchnię lodu czarną skrapiać farbą, co znów dla konsumentów niekoniecznie byłoby pożądanym.

W każdym razie jest to kwestya, o której, podług starego przysłowia, powiedzieć nie można, że „ani nas grzeje, ani ziębi“; boć jeśli węgiel, współ z drzewem, ma przywilej rozgrzewania naszych pieców i kuchen, to znów lód niezaprzeczenie posiada własność ożywczego chłodzenia nas wśród teraźniejszych upałów afrykańskich.

Niechże więc strony interesowane obmyślą środki zaradcze; my zaznaczamy tylko fakt, jako jeden z dowodów niewyczerpanej w pomysłach przedsiębiorczości naszego czasu.

\*

\*

Nie pisaliśmy jeszcze o wyjściu z druku jednego tomu komedij pana Tomasza Lebruna, a należy się od nas wzmianka o tym zbiorze, zwłaszcza że nowe książki są rzeczywiście rzadkością na obecne czasy.

Pan Lebrun posiada niewątpliwie dowcip, a nawet pewną umiejętność kombinowania pomysłów scenicznych. Przymioty te jednak nie wystarczają dla komedjopisarza. Trzeba, umieć wyciągać treść życia, a nie ślizgać się po powierzchni jego, chwytając z gruba wady odrazu wpadające w oczy, a leżące w sposobie wyrażania się i zachowania powierzchownego.

Są to raczej oderwane scenki, aniżeli komedye; całości tam organicznej niema nigdzie. Czuć amatora zdolnego, ale nie pisarza rzeczywistego.

Bo ażeby utworzyć pisarza zasługującego na tę nazwę, trzeba koniecznie prawdziwego powołania, oraz idących w ślad za nim studyów i poświęcenia.

Niechaj nikogo nie dziwi to rozróżnienie pomiędzy pisarstwem a amatorstwem pisania jakie tu czynimy, przestrzeń bowiem rozdziela jedno od drugiego rozległa jest bardzo.

Biorąc rzeczy z materyalnej, a więc najdotychczasniejszej strony, od amatora przyjmujemy podarunek, od pisarza zaś zakupujemy towar. Naturalnie więc że w takich razach prawo kontroli zaostrza się i punkt widzenia się zmienia. To co się zdaje dobrem i pięknym kiedy nam darmo przychodzi, przestaje się podobać gdy zapłacić trzeba. Dlatego to niektóre talenta rozslawione w prywatnych kółkach, maleją

i nikną, kiedy im przyjdzie wystąpić na widok publiczny.

Bo wystąpienie publiczne jest zawsze próbą ogniową.

Pan Lebrun, obmyślawszy sumiennie drobnotki które wydaje pod nazwą komedij i nadawszy im formę zgodniejszą z wymaganiami sztuki, mógłby rzeczywiście przysłużyć się scenie jakim utworem leższych rozmiarów.

Ale na to, oprócz wrodzonych zdolności, potrzeba koniecznie i studyów, tamujących trochę swobodny bieg pióra po papierze za pierwszym lepszym pomysłem który się do nas uśmiechnie.

\*

\*

Pan Ferdynand Nowakowski, redaktor Pamiętnika Tow. Lekarskiego, wydał dziełko pod tytułem „Życie i prace doktora Le Bruna,“ ozdobione portretem autora. Monografie tego rodzaju są zawsze rzeczą arcyważną, rozświecają bowiem wpływ jaki zasłużyli ludzie wywarli na postęp nauki u nas. Dzieło p. Nowakowskiego napisane jest sumiennie; pozbięrane są tam skrzętnie wszelkie tytuły do zasługi jaką śp. Le Brun potrafił sobie zjednać w pracownym i użytecznym zawodzie lekarza.

I jeszcze jedno zjawisko.

Poczęła wychodzić na świat Biblioteczka gawęd i powiastek żydowskich, której pierwszy numer stanowi Córka handlarza, obrazek z czasów ostatniej epidemii w Warszawie, skrzętny przez Józefa Goldszmita.

Na czele wiersz poświęcony pamięci matki autora:

Błogosławieni co zasnęli w Panu!  
Błogosławionaś i ty, matko w niebie,  
Co jak żniwiarkę ze zżętego ładu  
Bóg cię po spłatę powołał do Siebie...

Błagaj u Pana, niech gdy kres mój padnie,  
Z tobą się matko połączę stęskniony;  
W czarze cykuty życie ujrzę na dnie,  
Żywotem wiecznym ubłogosławiony.

A teraz wieńce róży purpurowej  
Na grób twój ścielę, o matko jedyna!  
Błagając jeszcze, abys do Jehowy  
Korne modlitwy poniosła za syna.

Z umysłu przytaczamy tu ten wyjątek, ażeby przekonać czytelników o pięknej formie jaką młody autor potrafił sobie przyswoić; i rzeczywiście ten obrazek zdjęty z mało ogólnie, a raczej bezstronnie, znanego życia ubogiej klasy starozakonnych u nas, odznacza się (oprócz niektórych zboczeń łatwych do poprawienia) czystym językiem, co za istotną zaletę poczytujemy autorowi.

Wspomnieć tu także należy o krótkim Przeglądzie kuli ziemskiej, czyli początkowej nauce Geografii powszechnej, napisanej przez pytania i odpowiedzi.

Autorką tej książeczki jest pani E. Leja, której nazwisko spotykaliśmy już na kilku użytecznych i przystępnych publikacjach, młodemu wiekowi poświęconych.

\*

\*

Bawiło w tym tygodniu w Warszawie kilku bardzo pożądanym gości.

Znani z talentu malarze, pp. Gryglewski, Kotsis i Mirecki przyjechali tu z Krakowa, a pp. Brandt i Kurella z Monachium.

Od czasu ustanowienia u nas wystawy sztuk pięknych, publiczność nasza zaczęła się bliżej zapoznawać z artystami przynoszącymi zaszczyt sztuce krajowej. Rzeczywiście chwila dzisiejsza, niewdzięczna pod wielu względami, w malarstwie przynajmniej hojnym płaci nam plonem. Upośledzeni dotychczas w ogólnym stanowisku europejskiej sztuki, zaczynamy się śmiało dopominać o należne nam miejsce. W tym szlachetnym spółzawodnictwie ze starszymi braćmi w sztuce, powyżej wymienieni artyści wysokie sobie wyrobili stanowisko, a znani zaszczytnie w kraju, potrafili i zagranicą uzyskać należne dla prac swoich uznanie.

Czytelnicy Tygodnika wkrótce może pod właściwą rubryką znajdą obszerniejsze i dokładniejsze ocenie talentu i dzieł tych młodych jeszcze, a zasłużonych już pracowników.

## Przegląd polityki zagranicznej.

24 lipca.

Ostatnie dzienniki wiedeńskie donoszą, że gabinet berliński ma zamiar wysłać do Gastein, kędy bawi u wód p. Beust, osobnego pełnomocnika, celem ułożenia podstaw przymierza prusko-austriackiego. Myśl ta pojawia się nie poraz pierwszy w prasie niemieckiej, usiłującej dowieść że przymierze tych dwóch mocarstw jest jedynym sposobem odwrócenia Francji od zamiarów wojennych. Tak np. Gazeta Kolońska utrzymuje, że cesarz Napoleon dlatego tylko nie rozpoczął dotąd z Prusami wojny, że nie może znaleźć sprzymierzeńca, a okoliczność tę zawdzięczać należy p. Beustowi, który umiał zachować przyjazną dla Prus postawę. Te i tym podobne przypuszczenia są jaknajzupełniej mylne. Że Austria, rozbita pod Sadową i przemieniająca do gruntu życiowe warunki państwa, nie była i nie jest pochoptą do wojny, to rzecz nader prosta; lecz wątpić się godzi, aby mogła dążyć do przymierza z Prusami, wbrew interesom Francji zawartego, nie mając nawet na widoku jakiegobądź ze strony Prus wynagrodzenia. Jeżeli Austria nie wyrzekła się wpływu w Niemczech, to w takim razie pewną być może iż znajdzie w Prusach energicznego a potężnego przeciwnika; jeżeli zaś marzy o Wschodzie, o rozszerzeniu swego wpływu w Turcyi i w księstwach naddunajskich, to rzecz ta bez pomocy Francji z trudnością da się osiągnąć. Nie wierzymy przeto w przymierze Prus z Austrią. Austria dzisiejsza, to państwo przerabiające się z gruntu i niemogące wejść dotąd na stanowczą drogę. Dualizm czy federacya? oto kwestya dla Austrii najważniejsza.

Spodziewane wybory, ruch dziennikarski i wzrastająca opozycya liberalna, stanowią główny przedmiot zajęć umysłów we Francji, nie mówiąc już nic o przypuszczalnej wojnie z Prusami, której rząd francuzki stanowczo się wypiera. Opozycya, korzystając z nowych swobód prasowych, silnie występuje przeciw obecnemu systemowi, tak dalece iż przypuszczają już niektórzy, że wszystkie stronnictwa we Francji podały sobie ręce, aby przy zbliżających się wyborach podkopać dynastyę Bonapartów.

Obiegające od dni kilku pogłoski o zawarciu celnowojskowego przymierza Francji z Belgią, Holandją i Szwajcaryą, nie sprawdziły się. Dziwnym zbiegiem okoliczności, ta sama Patrie która zamieściła najpierwszą wzmiankę o tym związku, obecnie najuroczyściej mu zaprzecza, dowodząc że prawodawstwa tych krajów są zbyt różne, aby można pomyslać nawet o jakiegobądź złączeniu się. Rozprawy budżetowe w ciele prawodawczym toczą się bez przerwy, a zajęcia między członkami izby i niektóre odezwania się ministrów, podkopują wiarę w utrzymanie pokoju. Tak np. marszałek Niel, w odpowiedzi na poprawkę domagającą się zniesienia sześciu komend wojskowych jako zbyt kosztownych, oświadczył, że wszystkie armie dzielą się na korpusy, i że komendy francuzkie to mają w sobie dobrego, że pozwalają na uruchomienie armii w przeciągu dni pięciu.

Z Kopenhagi donoszą, że następca tronu duńskiego wejść ma w związku małżeńskie z księżniczką Ludwiką, córką króla szwedzkiego. Że zaś młoda ta księżniczka jest prawną spadkobierczynią tronu Szwecyi i Norwegii, (Karol XV nie ma męskich potomków), przeto małżeństwo projektowane sprowadzić może połączenie trzech północnych królestw, czyli znaną już w dziejach unią skandynawską. Z powodu młodości księżny Lovizy, akt ślubny nie zaraz nastąpi.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

## BIECZ

i jego zabytki.

Ktokolwiek zna Galicyę, ten niezaprzeczenie odda pierwszeństwo, co do piękności okolicy, jęj części zachodnio-południowej, czyli powiatowi sandeckiemu. Niewdzięczna jednak przyroda, oraz zbyt górzyste położenie, nie dozwoliły na rozwinięcie się w tych stronach rolnictwa, handlu i przemysłu, i z tych też powodów niema w całej tej części Galicyi żadnego miejsca zabudowanego, któreby nazwę miasta nosić mogło. Są tam miasteczka tylko, z których każde stanowi gromadę małych i mizernych domków, z jedną lub dwiema z pośrodku wybiegającymi wieżami; lecz te miasteczka, mimo swęj maleńkości i ubóstwa, ważne dawnemi czasy odgrywały rolę, a w braku okazałych gmachów, bogatych sklepów i różnych zakładów cechujących tegoczesne miasta, mogą się poszczycić wielu budowlami i zabytkami z przeszłości.

Jednym z takich miasteczek jest Biecz, położony nad rzeką Ropą, na trakcie głównym, łączącym ziemie sandecką z sanocką.

Początek i czas powstania miasteczka jest niepewny. Według podań miejscowych, założycielem jego miał być niejaki Becz, straszny swojego czasu w tych okolicach zbójca, którego pomnik w kościele farnym pokazują. Inne podania wywodzą nazwę Bieczy od Biesów, narodu pod Bieszczadami żyjącego. Cóż pewnego w tym względzie trudno jest powiedzieć, niema bowiem materiału, w którymby jakie wskazówki na istotny stan rzeczy znaleźć można. Archiwum bieckie w roku 1775 zupełnemu prawie uległo zniszczeniu; za staraniem rządu austriackiego zebrano jedynie ocalone resztki i umieszczono je w bibliotece klasztoru o. o. bernardynów we Lwowie, gdzie milionom móli dostały się na pastwę.

Biecz jest miejscem urodzenia Marcina Kromera, biskupa warmińskiego, słynnego kronikarza, statysty i geografa w wieku XVI.

Dawniej to miasto miało być handlowe i bogate, obdarzane przywilejami jakie tylko Kraków posiadał. Z tego powodu, oraz dlatego, iż na swą rozległość stosunkowo wiele kościołów posiadał, nadano wtedy Bieczowi przydomek: „Parva Cracovia.“

Kościołami temi były: kościół farny, klasztor

o. o. reformatów (jeden z najbogaciej uposażonych klasztorów w Galicyi), św. Ducha i św. Piotra, św. Barbary, klasztor p. p. bosych i jeszcze jeden pomniejszy. Z tych sześciu kościołów pozostały tylko dwa pierwsze, z których kościół farny ze wszech względów na bliższą uwagę zasługuje.

Zbudowany w stylu gotyckim r. 1303 (?), mieści w sobie kilka pomników i portretów starostów bieckich; przyozdobiony pięknymi robotami snycerskimi.

Ząb czasu i opieszałość proboszczów byłyby zapewne po dziś dzień tę piękną budowę zamieniły w ruinę, gdyby terażniejszy proboszcz, ks. Tomasz

wałąciami się domami, pośród których grobowa panuje cisza, przerywana niekiedy tylko żałośnemi dźwiękami dzwonów kościoła, przedstawia oczom wędrowca smutny widok zaniedbania i upadku.

A. K.

## Wiadomości bibliograficzne.

(Archeologia. Sztuki piękne).

W sprawozdaniu siódmém Towarzystwa archeologów wrocławskich, wydaném w piśmie *Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift*, ogłoszono rozprawę znaną w papierach pozostałych po ś. p. profesorze Cybulskim, O krzyżkach i brązowych tryptykach ruskich, tak często spotykanych na piersiach żebraków. Pracę ś. p. Cybulskiego ilustrowano rysunkami tych krzyżków i napisów bywających na nich.

W sprawie badań oowych różnych form krzyża, oraz w studjowaniu pochodzenia wizerunków Zbawiciela, wreszcie w krytycznym rozpatrzeniu się w narzędziach męki Pańskiej, daleko dziś zaszły rozbiory i prace uczonych niemieckich. Dość przytoczyć dzieła niedawno wydane, jak: Friedlieb'a *Archäologie der Leidensgeschichte*, (Archeologia męki Pańskiej) Glückselig'a *Studien über Jesus Christus und Sein wahres Ebenbild*, (Studia nad Jezusem Chrystusem i Jego rzeczywistym wizerunkiem), lub Münz'a *Archäologische Bemerkungen über das Kreuz*. (Uwagi archeologiczne nad krzyżem). Po rusku pisał w tym przedmiocie ks. Petryszewicz w *Sborniku*, organie ruskiej Maticy.



KOSCIÓŁ FARNY W BIECZU. (Rysował z natury A. Kamienobrodzki).

Jaszczur, gorliwością i zabiegami swemi nie był jęj ochronił od grożącego upadku. Restauracya idzie wprawdzie wolno; lecz niedziw, fundusze bowiem wpływają po największej części ze składek; koszta reparacyi wynoszą już do dwudziestu tysięcy zł. w. a., a jeszcze wiele potrzeba do ukończenia przedsięwziętego dzieła.

Oprócz tych dwóch wspomnianych kościołów, zwracają uwagę zwiedzającego to ustronie podtatrzańskie: wieża ratuszowa, w której dawniej kaci cech swój mieli; dom rodzinny Kromera, będący tu w wielkiem poszanowaniu, mieszkanie dawne starostów bieckich i resztki baszt i murów obronnych.

Dziś miasteczko Biecz, puste, brudne, z napół

— Dr Rudolf Drescher zrobił wykaz 514 wsi, miasteczek i różnych miejscowości pruskiego Szlązka, w których się pogańskie grobowiska znalazły; do tego dołączył cytaty dzieł i czasopism opisujących te odkrycia, oraz zaznaczył je na sporządzonej w tym celu mapie, z której na pierwszy zaraz rzut oka widoczne, iż okolice Świdnicy i Lignicy należą w tej części kraju do osad najstarszych. Rezultaty o cywilizacyi Szlązka w różnych okresach jego dziejów przedchrześcijańskich, podane przez dra Dreschera w końcu rozprawy jego, dostateczne byćby powinny do zachęcenia, aby w Towarzystwie naukowym krakowskiem przedsięwzięto zaznaczanie na mapie grobowisk pogańskich w Galicyi odkrywanych. Pracę

dra Dreschera i wykonaną przez niego mapę ogłosiło muzeum szlaskich starożytności, istniejące w Wrocławiu, pod zarządem energicznego archeologa dra Hermana Luchsa. Jeszcze w r. 1857 wydało krakowskie Towarzystwo naukowe odezwę w sprawie formowania mapy takiej, nie zyskawszy ani jednej wiadomości z kraju, w którym przecież przez 11 lat upłynionych mnóstwo zabytków najodleglejszej przeszłości z ziemi dobyto. Dopiero z dzieła barona Sackena (*Leitfaden zur Kunde des heidnischen Alterthums*) (Przewodnik do poznania starożytności pogańskich), wydanego w Wiedniu, dowiadujemy nam się przychodzi o tém, co i gdzie w Galicyi odkryto. Sądźmy że do konserwatorów starożytności należałoby obudzenie w tym kierunku naukowego ruchu w Galicyi.

— Okolice Krakowa, Sandeczyczna i obwód wadowicki, najwięcej mają opisywaczy. Obecnie p. R. Temple, wydawszy w roku zeszłym pracę swoją *Ueber Gestaltung und Beschaffenheit des Bodens im Grossherzogthum Krakau* (O kształcie i naturze gruntu w w. ks. krakowskim), ogłosił nową rozprawę tyczącą się obwodu wadowickiego, pod napisem: *Historisch-Etnographisches aus den Trümmern altdeutschen Wesens im Herzogthum Auschwitz* (Wiadomości historyczno-etnograficzne o zabytkach niemieckich wks. wadowickim) (Peszt, u Légradeo).

— Uczony niemiecki Wilhelm Mannhardt, autor z niezwykłą pracą napisanej książki *Germanische Mythen*, (Myty germańskie) ogłosił był przed laty kilku odezwę z zapytaniami w sprawie zwyczajów i zabobonów tyczących się roli i gospodarstwa. Odezwę tę powtórzyły polskie dzienniki, niebawem zaś pojawiać się zaczęły w naszych czasopismach liczne artykuły, w odpowiedzi na pytania pana Mannhardta. Nie pamiętamy żeby komu z naszych pisarzy tyle okazano uprzejmości.

— W Opolu (u Reisewitza) wyszła broszura tycząca się legend o pobycie ś. Wojciecha w Krakowie i w Opolu, pod tytułem: *Ist der heilige Adalbert auf seiner Missionsreise in Oppeln gewesen?* (Czy św. Wojciech w wycieczce swęj misyjnej był w Opolu?). Rozprawę tę pisał dr. E. Wahner.

— W dziele dra A. Reichenspergera: *Allerlei aus dem Kunstgebiete* (Rozmaitości z dziedziny sztuki) (Brixen 1868) znajdujemy recenzją książki A. Esseneina: *Die mittelalterlichen Kunstdenkmale der Stadt Krakau*. (Pomniki sztuki średniowiecznej w Krakowie).

Niemieccy uczeni oczekują na rozbiór tego dzieła przez Polaka.

— Dnia 19 maja r. b. rozpoczęła się w Berlinie u Stargardta licytacja książek i rękopisów, między którymi (jak to wykazuje katalog) jest wiele rzadkich dzieł i oryginalnych dokumentów, tyczących się historii polskiej.

— Austriackie ministeryum stanu poleciło w r. 1865 drwi B. Dudikowi objechanie archiwów starożytnych będących w monarchii, w celu zdania sprawy z ich historycznej wartości. Obecnie wyszła pierwsza część pracy ks. Dudika, osobno wydana z 39 tomu oddziału archiwalnego, publikacji cesarskiej akademii umiejętności. Ogłoszona relacja

wreszcie bibliotek, jak Towarzystwa naukowego krakowskiego. Mielibyśmy nadto powód wymagania od ks. Dudika, aby uzupełnił pożyteczną, piękną i mozolną pracę swoją wiadomością o dyplomaturach polskich i pracownikach naszych archiwalnych, które to uzupełnienie jak z jednej strony zaokrągliłoby studia badacza, tak z drugiej może na korzyść naszą zmodyfikowałoby jego orzeczenie (str. 3), iż archiwa galicyjskie, aż do chwili ukazania się książki o której wspomina, nawet krajowcom zaledwo w urywkach były znane. W odpowiedzi, nie schodząc do prac tyczących się ogółu dziejów polskich, ani też wspominając o monografiach różnych części kraju i o podróżach archeologów, przytoczymy tu

jedynie, z uwagi na korzystanie z archiwów galicyjskich, kilka nazwisk, jak: Ż. Paulego, Z. A. Helcla, W. A. Maciejowskiego, J. Muczowskiego, A. Bielowskiego, K. Szajnochy, A. Batowskiego, ks. Gładyszewicza, ks. E. Janoty, A. Grabowskiego, A. Stadnickiego, S. Morawskiego, ks. S. Barącz, ks. J. Browna, dra T. Żebrowskiego, J. Szujskiego, Fr. Wolańskiego, księcia T. Lubomirskiego, ks. Żętowskiego, A. Przeździeckiego, J. Smoniewskiego i t. d. i t. d. Może wystarczy?...

Odebraliśmy z Krakowa następującą odezwę.

„Z przyjemnością, ale zarazem zdziwiony, czytałem w Nr. 23 Tygodnika zyciorys Piotra Schenka, wiem bowiem że dotąd o rytowniczych dziełach naszych, a równie i obcych artystów, jeszcze u nas bardzo głucho; co kilka lat zaledwie ze wzmianką w tym przedmiocie spotkać się można. A jednak gdyby czasowe pisma nasze systematyczniej chciały podawać w tym kierunku wiadomości, obudziłoby się może zamiłowanie tworzenia

zbiorów dzieł rytowniczych, tak już upowszechnione za granicą.

„Właściwym jednak powodem niniejszej korespondencji jest, jak wyżej nadmienilem, zyciorys Piotra Schenka, niezupełnie dokładny. Szanowny autor jego pisze, że artysta ten „rytował po większej części w manierze zwanęj aqua tinta,“ co jednakże być nie mogło, bo pomieniony sposób wynaleziony był przez Jana Le Prince w r. 1760, a zatem w 45 lat po śmierci Schenka. Artysta ten pracował kilkoma sposobami, najczęściej jednak sposobem zwanym sztuką czarną (manière noire, Schwarzkunst). Sposób to wielce podobny do aqua tinty, polega jednak na zupełnie odmiennem postępowaniu.



DOM ZAMIESZKAŁY DAWNIEJ PRZEZ STAROSTÓW BIECKICH. (Rysował z natury A. Kamienobrodzki).

nosi tytuł: *Archive im Königreiche Galizien und Lodomerien*. (Archiwa w królestwie Galicyi i Lodomerii). Znajdujemy w tém dziele ks. Dudika opisane krakowskie zbiory dokumentów: grodzkie, hypoteczne, miejskie, kapitulne, konsystorskie, biblioteki uniwersyteckiej, kościoła N.M. Panny, dominikanów, lateraneńczyków, augustyanów, senackie, komisji namiestniczej i t. p. Oprócz archiwów lwowskich, przemyskich i żółkiewskich, zwrócił autor uwagę na dokumenta przechowane w Staniątkach i Gumniakach; należało się więc spodziewać że i o sieniawskich zbiorach bliższe poda wiadomości, a nie pominie Łancuta, Sączów, Szczerczyca, Mogiły, lub klasztorów, jak np. śgo Jędrzeja w Krakowie, albo

O różnicy tej można się przekonać przez porównanie rycin sposobami temi wykonanych, tudzież z dzieł o rytownictwie specjalnie traktujących, a mianowicie z najnowszych, które przytaczam: Grammaire des arts du dessin, par M. Charles Blanc. Paris, 1867, od str. 682—688.

„Drugim powodem tej korespondencji jest moje powątpiewanie o pobycie Schenka w dawniej Polsce. Był on rzeczywiście nadwornym rytownikiem Augusta II, lecz mógł, nosząc ten tytuł, siedzieć sobie w Dreźnie i Amsterdamie, gdzie też umarł w r. 1715.“

W. B.

W końcu autor niniejszej odezwy wymienia szczegółowo tytuły 28 dzieł rytowniczych Schenka, znajdujących się bądź w jego posiadaniu, bądź w zbiorach J. I. Kraszewskiego w Dreźnie, J. Friedleina w Krakowie i Drugulina w Lipsku. Spis ten pomijamy, jako zbyt specjalny dla naszego pisma. Szczerze jednak wdzięczni jesteśmy szanownemu korespondentowi, za uwagi jego dotyczące samego życiorysu Schenka.

(Przyp. redak.)

## NEKROLOGIA PÓLROCZNA.

1. *Feliks Stobiński*, jeden z najdawniejszych przedsiębiorców teatrów prowincjonalnych, zakończył życie w Kutnie, jeszcze w roku 1867. O jego skonie żadne pismo nie doniosło dotąd. Stobiński najpierw grywał na teatrach w Galicyi, jako to: w Czerniowcach, Lwowie i t. d. Około r. 1837 przeniósł się do królestwa polskiego i założył towarzystwo sceniczne, z którym grywał w Pułtuskach, Siedlcach, Częstochowie, Kaliszu, Kielcach, Lipnie, Kutnie, Mławie, Olkuszu, Rypinie, Sompolnie, Wieluniu i t. d. Jako artysta dramatyczny do ról komicznych miał rzeczywistą zdolność. Żoną jego, córki (panie Kaczkowska i Świącka), oraz syn, który nateraz kieruje towarzystwem scenicznym w Kutnie, poświęcili się także zawodowi dramatycznemu. Zmarły Stobiński pracował dla sceny około lat 40.

2. *Doktor Adam Śniadkowski*, urodził się w Lublinie dnia 26 grudnia 1830 r. i tamże uczęszczał do gimnazjum miejscowego. Po ukończeniu takowego, wstąpił w r. 1858 do nowoutworzonej Akademii medycznej w Warszawie. W r. 1862 otrzymał stopień doktora medycyny, poczem osiadł w Lublinie. W r. 1865 odbył podróż naukową za granicę, gdzie szczególnie poświęcał się chirurgii. Z Paryża wrócił do rodzinnego miasta, w którym, obok powszechnego szacunku, liczną sobie zjednał klientelę. Zmarł na gorączkę tyfoidalną. Towarzystwu lekarskiemu dr. Śniadkowski przesłał wykaz statystyczny chorób i operacji przez siebie wykonanych w 4-ch szpitalach lubelskich. Pisywał prócz tego Śniadkowski artykuły różnej treści do Gazety lekarskiej.

3. *Józef Teofil Kwaśniewski*, urodził się w r. 1792. Pierwsze nauki pobiierał w mieście Rzeszowie. W r. 1818 otrzymał stopień doktora medycyny i chirurgii w Landshucie (w Bawarii). Powróciwszy z zagranicy, pełnił obowiązki fizyka okręgu krzeszowickiego (w okręgu w. m. Krakowa). W Krzeszowicach kierował tamtejszym zakładem kąpielowym wód siarczanych. W r. 1835 objął posadę profesora zwyczajnego położnictwa, ginekologii i pediatrii w uniwersytecie jagiellońskim. Ogłosił drukiem (oprócz rozprawy inauguracyjnej) prace swoje w trzecim tomie Roczników wydziału lekarskiego uniwersytetu i w 21-m tomie Roczników Towarzystwa naukowego krakowskiego. Po 30-letnim pełnieniu swych obowiązków, wysłużył całą emeryturę. Przybywszy do Warszawy, gdzie czasowo u dzieci swych bawił, po trzechdniowym cierpieniu w d. 11 grudnia 1867 r. zakończył życie.

4. *Jakub Lewiński*, b. generał b. wojska polskiego, członek b. rady stanu królestwa polskiego, zmarł w Warszawie d. 17 grudnia 1867 r.

5. *Michał Wiszniewski*, zmarł 22 grudnia 1867 r. Życiorys jego zamieszczony był w Nrach 27 i 28 seryi II naszego pisma.

6. *Jan Wincenty Smoniewski*, umarł w Krakowie d. 25 grudnia 1867 roku, w wieku lat 75. W ciągu pracowitego swego żywota, nagromadził wiele cennych materyałów i te wraz z całą swą biblioteką zapisał Towarzystwu naukowemu krakowskiemu, którego był członkiem. Urodził się na dawnym Podlasiu (prawdopodobnie we wsi Smoniewie) dnia 13 marca 1793 r. Jako pedagog trudnił się z zamiłowaniem nauczycielstwem w prywatnych zakładach naukowych w Warszawie i w kilku domach zamożnych, a jako agronom pełnił obowiązki zarządcy w dobrach Łekawa i w kilku innych. Od wielu lat żyjąc w Krakowie w spoczynku, cały swój czas poświęcał pracom literackim, których owocem są zestawione materyały do dziejów i geografii. Zbiór tych materyałów w rękopismach obejmuje: 1) „Dziennik podróży,” przeplatany wierszami; 2) „Alfabetyczny wykaz mężów zasłużonych, miast, miasteczek, wsi, rzeczek i jezior;” 3) „Opisy kościołów krakowskich, kościołków, kaplic, klasztorów i szpitalów;” 4) „Wiadomości o szkole strzeleckiej, gospodach przy traktach, pałacach i kamienicach szlacheckich;” 5) „O rzemieślnikach, mennicy, poczcie, komorze celnej;” 6) „O przedmieściach krakowskich;” 7) „Fizyografia;” 8) „Ubiory, dwory, obyczaje, stany, sądy, podatki” i t. d. Drukem wydał rzecz: „O magistratach miast, w szczególności Krakowa” 1867 r. Ś. p. Jan cały swój majątek zapisał na zakłady dobroczynne i naukowe.

7. *Artur Benni*, zakończył życie w Rzymie dnia 28 grudnia 1867 r., po długich cierpieniach. Rodem był z Tomaszowa rawskiego. Zdolności znakomite, jakimi go obdarzyła natura, rozwinięte zostały przez staranne wychowanie, które początkowo odbierał w domu rodzicielskim, pod okiem ojca swego A. Benni pastora, później w gimnazjum w Piotrkowie, następnie własną usilną pracą, podczas pobytu na uniwersytecie Petersburskim i w zakładach naukowych zagranicznych. Obrawszy sobie zawód naukowy, pracował przy bibliotece British Museum w Londynie, oraz w ministerium wojny angielskim (War-Office). Następnie oddał się zupełnie piśmiennictwu i powołany był na współpracownika różnych pism angielskich i innych zagranicznych. Ostatecznie, jako współredaktor gazety „Daily News,” wyjechał do Włoch, w celu udzielania jej sprawozdań z ostatnich wypadków w r. 1866 tam zaszytych. Będąc świadkiem w charakterze sprawozdawcy bitwy pod Mentaną, otrzymał przypadkowym sposobem ranę, która przedwczesną jego śmierć spowodowała, bo zaledwie 28 lat wieku swego ukończył.

8. *Marcelli Jasiński*, znany pod pseudonimem Józefa Doroszeńki, w grudniu 1867 r. zakończył życie w Kijowie. W „Ruchu Muzycznym” piśmie wychodzącym do r. 1863 w Warszawie, śp. Doroszeńko podawał o muzyce artykuły kręślone jedrzną piórem i na zacnym oparte pojęciu. Jako kompozytor dał się poznać w dodatkach do wspomnianego pisma dołączanych. Nieboszczyk był poprzednio uczniem uniwersytetu kijowskiego na wydziale lekarskim; ale nad medycynę przełożył muzykę i oddał się jej z niepowściągniętym zapałem. Znakomite musiały być jego zdolności, skoro bez odbywania regularnych kursów, mógł się usposobić na biegłego w muzyce przewodnika. Zapewne pozostały po nim rękopisma muzyczne, bo pisano o opracowaniu przez niego tekstu opery, skręślonego przez Al. Grozę.

9. *Karol Szajnocha*, zmarł d. 10 stycznia r. b. Obzernie o nim studium wydrukowaliśmy w Nrach 19, 20, 21 i 22 seryi II-jej Tygod. Ilustrow.

10. *Ksiądz Benjamin Szymański*, urodził się w Warszawie d. 18 czerwca 1793 r. W r. 1810 wstąpił do zakonu oo. kapucynów; wyświęcony na kapłana w r. 1816. Przechodząc różne stopnie kapłańskie, wyniesiony został w r. 1857 na godność biskupa dyecezyi podlaskiej. Zmarł w d. 15 stycznia 1868 r. w Łomży. Ks. Szymański w r. 1848—1849 wydał z druku: „Rys historyczny zgromadzeń zakonnych obojg płci, wraz z rycerskimi zakonami i orderami państw,” podług niemieckiego J. K. Wietz i Bohmann, z 261 tablicami rycin kolorowanych.

11. *Feliks Żochowski* zakończył życie 20 stycznia r. b. Biografią jego daliśmy w Nr. 7 seryi II naszego Tygodnika.

12. *Tadeusz Gorecki*, zmarł 31 stycznia 1868 r. w Paryżu. Życiorys jego zamieściliśmy w Nr. 17 seryi II Tygod. Ilustrowanego.

13. *Jan Smolikowski*, b. generał major, zakończył życie w Warszawie w dniu 16 lutego 1868 r. Urodził się w Lublinie i po ukończeniu tamże szkół, wszedł do służby inżynierskiej, a potem jako elew wysłany został kosztem rządu do instytutu komunikacji w Petersburgu w r. 1817. Po chwalebnym ukończeniu nauk przepisanych na stopień porucznika, wysłany znów został kosztem rządu r. 1821 do Paryża, dla dalszego kształcenia się. Powróciwszy w r. 1822, otrzymał w r. 1824 przeznaczenie na profesora szkoły inżynierii przy uniwersytecie warszawskim, obok czego pełnił służbę inspektora generalnego spławów. W r. 1857 został naczelnikiem zarządu 13-go okręgu komunikacji, później 7-go. Obowiązki te sprawował do r. 1861, w którym uwolniony został dla słabości zdrowia. W r. 1857 czasowo także pełnił obowiązki dyrektora drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Śp. Smolikowski posiadał stopień doktora filozofii, uzyskany w uniwersytecie warszawskim. Poświęcał się także w wolnych chwilach od zajęć obowiązkowych jedwabnictwu, którego wielkim był miłośnikiem, a nawet wydał w r. 1861 dziełko o jedwabnictwie. Kręślił wreszcie niekiedy po różnych pismach krótkie lub dłuższe artykuły, w rzeczach ogół obchodzić mogących. Żył lat 70.

14. *Józef Simmler*, umarł w Warszawie w dniu 2 marca 1868 r. Życiorys jego podał Tygodnik Ilustrowany w Nrze 11 seryi II.

15. *Ferrante Marconi*, rzeźbiarz, umarł w Warszawie w dniu 11 marca 1868 r. Urodził się r. 1788 w Bolonii i tam z bratem starszym Henrykiem, słynnym budowniczym, zmarłym przed pięcioma laty w Warszawie, kształcił się w akademii, pod kierunkiem ojca swego. Poświęcając się głównie ornamentacji, otrzymał za takową medal złoty. W r. 1828 powołany przez brata Henryka, już wówczas w naszym mieście zamieszkałego, przybył do Warszawy, i przez 40 lat swego w niej pobytu, artystycznymi pracami przyozdobił mnóstwo gmachów, tak w samém mieście, jak i w okolicach.

16. *Zygmunt Hlebicki, Józefowicz*, umarł w Warszawie dnia 12 marca 1868 r. Życiorys jego zamieściliśmy w N. 13 seryi II naszego pisma.

17. *Antoni Popliński*, emeryt, b. profesor gimnazjum św. Maryi Magdaleny, pierwszy bibliotekarz biblioteki hr. Raczyńskich, nestor nauczycieli polskich, umarł w Poznaniu dnia 24 marca 1868 r. Zasłużony ten mąż tak w zawodzie nauczycielskim jak i w piśmiennictwie krajowem, wydał z druku, oprócz kilku szkolnych książek w języku niemieckim, następujące dzieła polskie: 1) „Wybór prozy i poezyi polskiej” (Poznań 1838 r., wydanie 2-gie 1844 r. 3-ie 1853 r.); 2) „Gramatyka łaćnińska mniejsza” (Poznań i Bydgoszcz); 3) Historia powszechna dla klas niższych szkół realnych i gimnazjalnych, na wzór Weltera ułożona, t. I. „Historia starożytna” (Poznań 1844 r.); 4) „Przykłady do tłumaczenia z łaćnińskiego na polskie, do etymologii łaćnińskiej gramatyki ułożone;” 5) „Geografia podług Seltena;” 1848 r. Nadto wspólnie z Józefem Łukaszewiczem był redaktorem „Tygodnika literackiego” i „Orędownika naukowego,” czasopism w Poznaniu wychodzących.

18. *Jakub Flatow*, bankier i obywatel m. Warszawy, umarł w Dreźnie dnia 30 marca 1868 r. w wieku lat 68. Zmarły zapisał własnoręcznym testamentem rs. 32,000 na różne zakłady dobroczynne i naukowe, a nadto rs. 25,000, z której to summy procent obracany być ma na wsparcie 7-miu rodzin stanu kupieckiego, bez różnicy wyznania, i na stypendya.

19. *Eugeniusz Łazowski*, profesor języka i literatury polskiej przy gimnazjum akademickim we Lwowie, zakończył życie tamże w d. 4 kwietnia 1868 r. Zmarły odbywał studia w uniwersytecie Jagiellońskim i z małą kilkonasto-miesięczną przerwą całe swe życie poświęcił zawodowi pedagogicznemu. Jako znanemu badaczowi, zawdzięczamy mu wyjaśnienie wielu zawiłych kwestyj językowych, w których przyjęta przezeń podstawa historyczna wiele się przyczyniła do postępu badań gramatycznych naszego języka. Z tego względu dzieło jego p. t. „Gramatyka języka polskiego, oparta na historycznym jego roz-

woju“ (Lwów 1861) zaszczytne zajmuje stanowisko w szeregu prac lingwistycznych. Oprócz tego Łazowski był autorem: „Gramatyki języka niemieckiego“ (Tarnów 1845), „Gramatyki języka polskiego“ (Kraków 1848), „Krótkiego rysu gramatyki języka polskiego“ (Lwów 1849), „Przypisków do starożytnej literatury polskiej“ (Lwów 1861) i t. d. Od dwóch lat nękany chorobą piersiową, wykończył pomimo to obszerny rękopis nowej gramatyki polskiej, który na kilka dni przed skonek przesłał do aprobaacy radzie szkolnej.

20. *Walenty Olbratowicz*, doktor medycyny i magister filozofii, umarł w dniu 6 kwietnia 1868 r. w mieście Opatowie. Praktykował poprzednio przez lat 30 w Warszawie, z kąd dopiero w roku 1867 przeniósł się do Opatowa. O ile był dobroczynnym i chętnym za życia w niesieniu skutecznej pomocy cierpiącej ludzkości, o tyle i przy skonek swoim dał tego dowód, zapisując testamentem złp. 20,000 na wsparcie dla wdów i sierot pozostałych po zmarłych lekarzach.

21. *Franciszek Ksawery Masłowski*, zakończył życie w Krakowie dnia 15 kwietnia 1868 r. Zmarły, oprócz prac literackich zajmował się litografią. Za jego staraniem i pomysłem wyszły wspaniałe widoki gmachów krakowskich, wykonane przez znakomitego belgijskiego artystę Stroobanta. Masłowski taki nadał popęd litografii krakowskiej, iż mianowicie w kolorowanych odbiciach mogła się współubiegać z zagranicą. Zostawił piękny zbiór olejnych obrazów i rycin (swojskich i obcych parę tysięcy), akwarel, litografij i broszur, głównie mieszczący w sobie przedmioty sztuki i rzeczy mające styczność z dziejami.

22. *Gustaw Wołowski*, obrońca przy senacie, zmarł d. 19 kwietnia r. b. w Cannes w południowej Francji. Prace jego literackie umieszczane po pismach peryodycznych (głównie w Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych), przychylnie ocenione były przez krytykę. Obdarzony niezwykłą łatwością wierszowania, Wołowski przełożył z francuzkiego kilka większych sztuk, pomiędzy którymi „Gabryela“ Augiera odznacza się pięknnością i poprawnością wiersza. Pisał także i sztuki oryginalne, z których jednak żadna nie doczekała się przedstawienia. Oprócz drukowanych powieści, pozostawił ich kilka w rękopiśmie.

23. *Jan Milikowski*, księgarz i nakładca, umarł we Lwowie dnia 12 maja r. b., przeżywszy lat 38.

24. *Hr. Ireneusz Żalwski*, znany ze swego talentu rzeźbiarskiego, zmarł w Dreźnie dnia 20 maja 1868 r. Był on rodem z Galicji. Z dzieł wykonanych przez niego, kilka popiersi było na wystawie warszawskiej. Celował szczególnie w popiersiach kobiecych, którym umiał nadać, obok wielkiego wdzięku, właściwy charakter. Do najcelniejszych należą popiersia: cesarzowej austriackiej, Laury Świejkowskiej (hr. de Noailles), hr. Przeździeckiej i wielu innych piękności.

25. *Stanisław Wysocki*, zakończył życie w d. 21 maja 1868 roku w Warszawie. Życiorys jego dałszy w N. 28 seryi II naszego pisma.

26. *Józef hr. Gurowski*, umarł w Warszawie dnia 21 maja 1868 r. Zaczynał ten mąż w pamiętnym z głodu r. 1847 przy dworze swoim we wsi Rusociach, urządził kuchnię dla zgłodniałych. Wypuściwszy dobra swoje w dzierżawę, zamieszkał w Kaliszu. Tam, pozyskawszy zaufanie współobywateli, wybrany został na radcę dyrekcji szczegółowej kaliskiej i obowiązki te pełnił przez lat cztery. W r. 1856, w skutku ogólnego nieurodzaju, liczba ubogich i żebraków w Kaliszu tak się zwiększyła, iż zalegali ulice miasta. Gurowski zajął się ich losem i z zebranych mozolnym staraniem składek, zakupił i urządził dom przytułku dla kilkuset starców i kalék, a tym sposobem uwolnił mieszkańców Kalisza od natręstwa żebraniny ulicznej. Był także prezydującym przez lat 7 ochronki w Kaliszu, oraz członkiem szpitala św. Ducha.

27. *Władysław Szukiewicz*, młodzieniec pełen nadziei, zmarł w Gratzu styryjskim dnia 23 maja r. b. Studya przed trzema laty skończył w uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie otrzymał stopień doktora obojga praw. Starając się o docenturę w tymże uniwersytecie, napisał rozprawę habilitacyjną, która przez wydział przyjęta została. Tytuł jój: „Prawodawstwo

włościańskie.“ Jest to praca większych rozmiarów, którą w rękopiśmie zostawił. Z drukowanych po pismach peryodycznych artykułów ważniejsze są: „Kwestya robotnicza“, wydana w oddzielnej odbitce i „Kara śmierci w obec społeczności.“ W wychodzącym w Warszawie „Ekonomiście“ umieszczał także swoje prace. Poświęcał się głównie umiejętnościom politycznym i ekonomicznym.

28. *Ks. Michał Mioduszeowski*, zasłużony pracownik na polu hymnologii polskiej, umarł w Krakowie w ostatnich dniach maja 1868 r. Zebrał i wydał pieśni pobożne, wraz z melodyjami do nich (bez żadnej przygrywki) w trzech tomach pod tytułami: „Śpiewnik, Dodatek do śpiewnika, Pastorałki i kolendy.“ Miał lat 81.

29. *Aleksander Zdanowicz*, zmarł dnia 31 maja 1868 r. w Wilnie. Obszerniejszą jego biografią wkrótce zamieścimy.

30. *Franciszek Jakubowski*, były urzędnik sądowy i notaryusz, umarł w d. 31 maja 1868 r. w Krzeszowicach pod Krakowem, mając lat 70. Pisał dramata, z których były ogłoszone drukiem: „Filip II“ (1830) i „Samuel Zborowski.“ (1858). W r. 1819 przedstawił na scenie w Krakowie 5-cio aktową tragedya „Mikołaj Zebrzydowski“, a w r. 1858 tragedya „Kiejstut.“ W pismach czasowych umieszczał ulotne wiersze swoje.

31. *Dr. Aleksander Le Brun*, zmarł d. 3 czerwca r. b. Życiorys jego podany został w Tygodniku Ilustrowanym N. 24 seryi II.

32. *Leopold August Leob*, doktor medycyny, umarł dnia 19 czerwca r. b. w Warszawie, w wieku lat 76. Zmarły ukończył d. 23 stycznia 1815 r. akademię w Królewcu. Przybywszy do Warszawy w r. 1815, rozpoczął praktykę lekarską. W latach 1831 i 1837 powierzony miał sobie nadzór nad szpitalami choletrycznych i za szczęśliwe stosowanie zaradczych przeciw niój środków, otrzymał, po ustaniu epidemii, od króla Francuzów Ludwika Filipa listowne podziękowanie. W literaturze lekarskiej był Leo także czynnym. W r. 1829 założył pismo wychodzące w Warszawie w języku niemieckim p. t. „Magazin für Heilkunde und Naturwissenschaft in Polen“, kwartalnymi zeszytami od 8 do 10 arkuszy, które razem zebrane stanowią 2 tomy w 8-ce. W r. 1837 pracował przy redakcyi „Pamiętnika lekarskiego“, wydawanego przez doktorów Malcza, Janikowskiego, Le Bruna i Koehlera. Od r. 1838 do 1847 pełnił obowiązki lekarza-konsulenta przy instytucie oftalmicznym warszawskim, a w r. 1848 był lekarzem administracyi rządowej dochodów tabacnych b. fabryki tytoniu w Sielcach. W r. 1865 obchodził półwiekowy jubileusz zawodu lekarskiego, w skutku którego Towarzystwo lekarskie warszawskie zaprosiło go na swego członka honorowego.

33. *Wincenty Thullie*, pisarz oryginalny i tłumacz, umarł d. 21 czerwca 1868 r. we Lwowie. Thullie, wraz z innymi równoczesnymi pisarzami, przerobił repertoar sceny lwowskiej, zanim jeszcze Fredro swemi dziełami ostatecznie go odżywił. Oprócz 20 komedyj i dramatów, tłumaczonych to z francuzkiego, to z niemieckiego i przedstawianych na scenie lwowskiej, Thullie wydał „Rocznik dramatyczny“ (Lwów 1827) i „Komedyje“ (tom 1, Lwów 1833). Pomiędzy temi, prócz przerobionych, znajduje się komedyja oryginalna „Nieporozumienie.“ Traktował też drukiem i inne przedmioty, ale główną jego zasługą pozostanie praca dla teatru. Żył lat 79.

34. *Jan Alojzy Janiszowski*, umarł dnia 2 lipca r. b. w Warszawie. Oprócz wysokich urzędów jakie piastował, zajmował się literaturą. Zgasły przed kilku latami Michał Grabowski, b. dyrektor główny b. komisji oświecenia publicznego i spraw duchownych, znany krytyk i dopełniacz Maurycego Mochnackiego, w dziele dwutomowym wydanem w Wilnie p. t. „Korespondencya literacka“, przytacza listy śp. Janiszowskiego. W wydawanym niegdyś „Gazecie Porannej“ i „Piśmiennictwie krajowem“, bardzo wiele mieścił się artykułów zmarłego, oznaczonych głoskami J. A. J. Nadto Janiszowski pozostawił w rękopiśmie „Pamiętniki skarbowe“, w których mieszczą się dzieje skarbowości naszój, blisko na 200 arkuszach spisane. Żył lat 75.

35. *Henryk hr. Plater*, urodzony w r. 1817 w gubernii witebskiej we wsi Indrycy, zmarł 4 lipca r. b. Skończywszy seminarjum u ks. ks. misjonarzy, pracował jako wikaryusz przy probostwach w Nadarzynie, Mszczonowie i Wiskitkach. Dalej został proboszczem w mieście Łodzi, a po kilku latach zamianowany biskupem in partibus i sufraganiem łowickim. Był on miłośnikiem literatury, a niekiedy, zwłaszcza w młodszych latach, pisywał do pism krajowych, jak np. do dziennika dla młodzieży, wydawanego w Warszawie w latach 1843 i 4 przez Paulinę Kraków i Walentynę Trojanowską, p. t. Zorza.

### Cieniom Karola Szajnochy.

Wieszcz przeszłości odszedł do niój;  
Lecz kto tknieniem wieszczój dłoni,  
Przez natchnioną ducha dzielność,  
Wskrzeszał z martwych wieki całe,  
Ten z ich życiem, i swą chwałę  
Oblókł w ducha nieśmiertelność.

Kto wpatrzony w prawdy słońce,  
Dzień swych oczu, życie schnące,  
Ku jój czci poświęcił w trudzie:  
Przed tym, jak przed jój kapłanem,  
Hołd czci, sercem i kolanem,  
Złożą dzieje, czasy, ludzie.

I niech staną narodowie!  
Gdzie mistrz, o kim głos ich powie:  
„Służy prawdzie, wierzy, kocha?“ —  
A my z chlubą, choć ze łzami,  
Rzekniem: „Takim między nami  
Był dziejopis-wieszcz — Szajnocha.

A. E. Odynieć.

### Obrazki z dawnych czasów,

przez Wielistawa.

### HONOR MIESZCZANKI.

#### I.

Niedaleko Krakowskiej bramy w Warszawie, starożytnego budynku, który już dziś mało kto pamięta, mieszczącej się na dzisiejszym placu Zygmunta, a stanowiącej niegdyś wjazd do głównego miasta z okalających go przedmieść, stał, prawie już dotykając Podwała, niewielki ale starannie zbudowany dom jubilera Justusa. W témże samém miejscu był, mówiąc po dzisiejszemu, magazyn wyrobów jego fabryki, a po dawnemu sklep jego. Dawniej nie sadzono się na te lśniące fałszywym zbytkiem i pstrociną wystawy sklepowe, nęcące blaskiem swym gawieź uliczną, tak że nieraz się zdarza, że całą zamożność kupca w jedném oknie zgromadzoną widzisz, a dalej naprózno byś jój szukał. Dawniej starożytność firmy, jój ustalona powaga, wszelki dobór i zapasy w jaknajlepszych gatunkach ukrytego po składach towaru, to były rzeczy, które wabiły kupujących; świecidla i mamidla, mogące oszukać tylko lekkomyślnych, pozostawiano początkującym w zawodzie, niepewnej reputacyi handlującym, a w ogóle im gdzie więcej było zamożności i dostatku, tém mniej okazałości i wystawy na zewnątrz. Takim też był i sklep pana Modesta Justusa, pierwszego jubilera w Warszawie, uprzywilejowanego dostawcy różnych magnackich domów, a nawet wówczas tu bawiącego dworu hrabiego Prowancyi, który później panował Francuzom pod imieniem Ludwika XVIII.

## SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Układ i rysunek Kostrzewskiego.

Jak wszystkie owocne, dom Justusa był bez bramy; wchodziło się do niego sienią, zamykaną ciężkimi, żelaznymi drzwiami, w której pośrodku porobione były otwory piwniczne. Dopiero kunsztownie wyciosane z marmuru schody prowadzące na górę, zwiastowały zamożność właściciela domu, która im dalej szedłeś, tém więcej uderzała oczy. Przez drzwi masyw mahoniowe, zdobne bronzami, oszlone kryształowej czystości, grubemi, z angielskiego szkła szybami wchodziło się do właściwego zakładu, łącznego z mieszkaniem gospodarza. Tutaj już przepych, ale nie ten dzisiejszy, powszedni, tuzinkowy, bogactwem swoim udanym dekoracje teatralne przypominający, ale owa dostatnia zamożność i bogactwo średnich wieków, o której nam stare kroniki rade gwarzą, zastanawiały uwagę baczniejszego postrzegacza. Na ciemno-purpurowym obiciu, z ciężkiej jedwabnej lyońskiej, złotem przetykaną materyi, porozwieszano wspaniałe, w srebrnych ramach, wielkie weneckie zwierciadła; pomiędzy niemi, na tle aksamitnym różnej barwy, w złocistej oprawie wisiały z różnych kosztowności poukładane medalliony.

Z dyamentów potworzono pełne gustu promieniste słońca, z pereł na czerwonym aksamicie różnej wielkości gwiazdy, z rubinów i ametystów przepyszne róże, a na tle białym mistrzowską ręką powyrabiano

ze szmaragdów, turkusów, koralu i innych drogich kamieni różnego kształtu rysunki i wzory.

Pośród tych drogocennych wyrobów jubilerskiej sztuki, mieścił się jeden tylko olejny malowany obraz, ale obraz za który książę prymas naprózno właścicielowi ofiarował pięć tysięcy czerwonych złotych, arcydzieło malarstwa, podobno utwór Rembrandta, przedstawiający Madonnę z dzieciątkiem, pamiętka która już lat dwieście w rodzinie Justusów, pochodzącej z Amsterdamu, z ojca na syna przechodziła. Przed tym obrazem zawieszona niewielka, ale cudnych kształtów, szczerozłota lampka, dawała poznać i wyznaczenie religijne do którego nasz gospodarz należał, i cały nastrój panujących w domu jego wyobrażeń. Posadzkę pokrywał pyszny turecki, o jaskrawych kolorach kobierzec, a na rozstawionych w około, czarnym aksamitem obitych stołach, piętrzyły się, rozrzucone w udanym nieładzie, mniejszej wartości wyroby, bransoletki, zausznice, pierścionki, kosztowniejsze zaś naszyjniki, fermoary, pariury, stały pozamykane w bogato okutych, po mistrzowsku wykonanych hebanowych sepetach.

Przed stołami mieściło się kilka wygodnych dla przybywających osób taboretów, złocistym kurdybanem obitych. Po za stołem głównym stała wygodna, pokryta niebieskim atlasem kozetka, ulubione miejsce gospożni domu, otoczona dokoła żardinierką, napełnioną rozkwitłymi hyacynthami, przed nią zaś stał zgrabniuchny stolicek do damskich robót, cały z cytrynowego drzewa rzeźbiony.

Z miejsca tego pani domu mogła się oddawać swojemu podwójnemu zajęciu, to jest pilnować sklepu i dozorować całego domu, bo zaraz za kosztowną kotarą, po kilku schodkach w dół, schodziło się do tak zwanego gospodarskiego pokoju. Tu, ukryte w ubocznej alkwie, stały łóżka małżeństwa, przybrane w bogate baldachiny, a w około ścian porostawiane, piękne z czarnego dębu, srebrem nabijane gdańskie szafy, lub z marmurowymi blatami komody, mieściły w sobie zasobnego domu przeróżne składy.

Również artystycznie wykończony olbrzymi kredens, uginał się pod ciężarem waz, półmisków, puharów, wszystko ciężkiej, staroświeckiej roboty. Jedyne ogromne okno, wychodzące na dziedzieniec wązki i ponury, słabo oświecało cały ten pokój, rzucając na niego owe tajemnicze półcienie, które w obrazach mistrzów flamandzkich, gdy swoje wnętrza malują, stale spotykamy. Pod oknem stał wielki stół, przy którym koncentrowało się całe życie domowe wieczorem. Tu zasiadali odpocząć po pracy całodzienniej małżonkowie, przy nim uczyła się starsza dziatwa, a młodsza bawiła, tu wreszcie, pod okiem swjej pani, pracowały sługi.

Przy przedmiotach świadczących o zamożności, bogactwie, nieledwo zbyt ku domu, pełno tu napotykałeś i rzeczy dowodzących ciągłego zajęcia, pracy, rzadności, oszczędności i baczności na wszystko samej gospożni. Znalazłeś ciężko oprawne księgi rachunkowe kupieckie, a przy nich duży kałamarz i niezbędna linia; znalazłeś miary i wagi, łokieć żelazny, żelazka od prasowania lub rurkowania, i miedziany rezerwoar do wody, i pęki różne kluczy, i puzderka psią skórą obite, żelazem

okute, i kufry rozmaite. Za szafą wisiał kalendarz i szyfrowa do rachunku tabliczka, także śnieżnej białości ręczniki, i postrach domu całego, groźna dyscyplina. Dalej stały kosze pięknie wyplatane, z mnóstwem nagromadzonej bielizny, przygotowanej do reparacji i przejrzenia. Wszystkie te jednak rzeczy powszedniego użytku tak były ładne, tak porządnie pochowane i poukładane, żeś wchodzić do tylko spostrzegał, co gospożni chciała abyś zobaczył. Dodajmy do tego rozweselający widok pół tuzina ładnej dziatwy, czysto i starannie ubraniej, kilka wypasionych, wesółych z dobrego bytu sług płci żeńskiej, kręcących

(Ob. dodatek.)



Lekcja wstępna.

Gwernantka. Jaka to jest litera, Maniu?

Mania. To jest A.

Gwernantka. A ta?

Mania. To jest F.

Gwernantka. A ta?

Mania. Eh, pocóż ja mam ciągle mówić?... Przecież to pani powinna mnie uczyć, a nie ja panią.

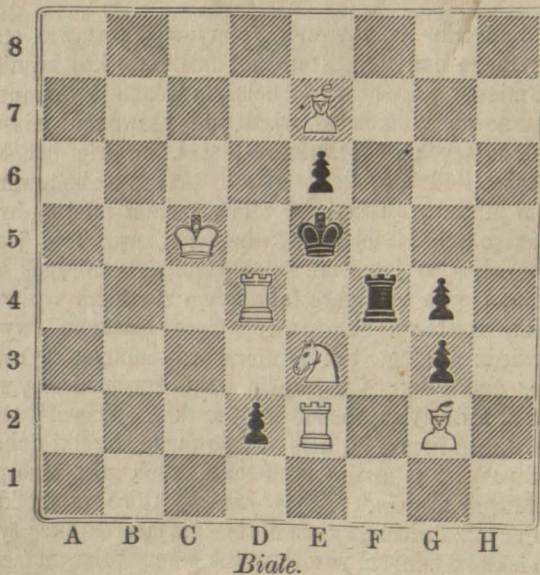
## Szachy.

ZADANIE XXIII.

(J. N. Nowakowski w Brzeżanach).

Białe zaczynają i dają mata za 4-ém posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 22.

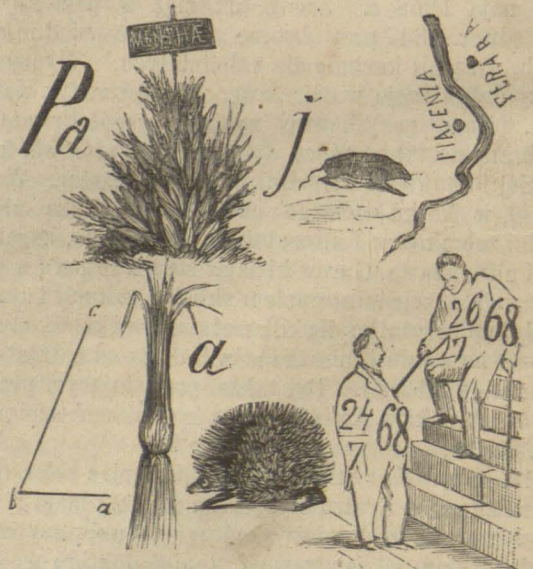
Białe.

Czarne.

- 1) B8—B4 . . . 1) D5—E4 biorą, lub D5—D4  
2) H3—D3 † i mat.

Gdyby król czarny wziął pieszka C6, to mat następuje koniem na E7; gdyby zaś czarne pojechały laufrem, to królowa daje mata na D7.

## Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 29.

Łatwiej głębi oceanu zbadać, niż serce człowieka.  
(Dodatek.)



się nieustannie po pokoju, a będziemy mieli mały obrazek życia cichego, wygodnego, które mieszkańcy jego prowadzili oddawna, z pokolenia na pokolenie, nie pragnąc nigdy lepszego, oddani całkiem pracy i obowiązkom swego stanu.

Obszerniejszy się rozpisali nad wewnętrznym urządzeniem domu państwa Justusów, bo nic, według nas, lepiej nie odbija usposobienia, przyzwyczajenia, charakteru, stanu duszy człowieka, jak jego zwykłe otoczenie; z jednego szczegółu, z jednej drobnostki dojrzałej, daleko nieraz dokładniej poznajemy osobę, aniżeli z półtomowego ckliwego określenia jej indywidualności. W opisie tym jednak zapomnieliśmy czytelnika bliżej zapoznać z najpiękniejszą ozdobą, perłą i uwieńczeniem całego domu, słowem z jego panią, o której warto dłużej pomówić.

Pani Małgorzata Justusowa, z domu Szwarzówna, była córką warszawskiego mydlarza. Podobnie jak jej mąż, pochodzący z dawniej mieszczańskiej rodziny, przybył tu z Hollandyi, i ona należała do jednej z tych licznych rodzin niemieckich u nas osiadłych, co tak silnie umiały się zespolić z życiem kraju który zamieszkały, że wiele z nich stanowi prawdziwą jego ozdobę. Z dawnego obyczaju pozostawiły w zachowaniu chyba jedno tylko zamiłowanie czystości wytwornej i porządku, połączone z rodzajem oględności i oszczędności, podtrzymującej zamożność. Pani Justusowa, którą jednak mąż czasami z niemiecka Gretą przezywał, była co się zowie piękną kobietą. Wspaniałej postaci, wyniosłej kibici, łączyła w ruchach tę zręczność i gibkość, rzadko napotykaną u kobiet wyższego wzrostu i mocniejszej już tuszy. Przy pięknym, ciemnym włosie, miała pięć delikatną i białą; wyraz twarzy może był cokolwiek zaostry i dumny, ale czarujący uśmiech, który często kraszył jej usta, łagodził to pierwsze wrażenie. Ciemnoniebieskie oko błyszczało rozumem i energią; ale znowu kiedy chciało, tak umiało być ujmującym i nęcącym, że się zapominało o szerokich brwiach, schodzących się z blizko nad orlim choć kształtnym nosem. Usta także może były zamałe i jakby trochę zacięte; słowem Greta nie była pięknoscią, jak zwykliśmy nazywać, klasyczną, ale całość jej, do której dodajemy prawidłowo zbudowane, lubo wcale nie drobne ręce i nogi, a szczególnie jakiś niewypowiedziany powab rozlany w jej osobie, wywoływała wrażenie, i nikt, przeszedłszy obok niej na ulicy, nie mógł się wstrzymać od tego, aby w duchu nie pomyślał: co za piękna pani! a po bliższym z nią zetknięciu się dodawał: musi być rozumna i dobra.

Pan Modest, jej małżonek, jeśli kto ciekaw jego opisu, był żyjącą antytezą swjej żony. Nizki, gruby, nieco pękaty, o twarzy pospolitej, oczach dosyć przenikliwych, ale nieokreślonego koloru, przedstawiał typ pracowitego rzemieślnika i w ogóle prędzej wyglądał na piekarza, jak na człowieka mającego do czynienia z dyamentami i innymi drogościami.

Obok powabów naturalnych, pani Małgorzata, jak wszystkie Warszawianki, posiadała i talent ubierania się gustownego. W chwili gdy się nasza powiatka zaczyna, miała na sobie prześliczną czarną atłasową suknię, obszytą u gorsu starami jak świat koronkami; na ramionach rzucony niedbale aksamitny, ciemno-morderowy kaftanik, obsyty sobolami, chronił jej alabastrowy biust od wiosennego chłodu, jaki uczuwać się dawał w sklepie; włosy zdobił czerwony, świeżo rozkwitły hyacynth. Kosztowności zwykle nie nosiła na sobie żadnych, oprócz obrączki ślubnej, malutkiego zegarka kameryzowanego dyamentami i perłami, zawieszzonego na cieniutkim weneckiej roboty łańcuszku, i artystycznie wyrzeźbionej złotej klamry, noszącej kluczyki od całego gospodarstwa. Delikatną i wypieszczoną jej rękę pokrywały duńskie rękawiczki, mocno wyperfumowane, a nogi kryły się w przezroczystej jak pajęczyna ażurowej pończoszce i pantofelkach ze złocistej wyrobionych skórki.

Tylko co właśnie pani Justusowa wróciła od dzieci i sadowiła się na ulubionej kozetce, kiedy odgłos dzwonka w sieni zwiastował czyjeś przybycie. Do sklepu weszło dwóch młodych ludzi, widocznie rodzonych braci. Starszy, cokolwiek jaśniejszego włosa i zniewieściałej twarzy, ubrany był w dziwaczny strój modnisiów owoczesnych. Miał na sobie frak makowego koloru, z połami aż po pięty sięgającymi, pantaliony nankinowe obcisłe, wpuszczone w wyso-

kie węgierskie buty z kutasami; broda schowana w grubo zawiązaną z muślinu białego chustkę i kolczyk olbrzymi w lewe ucho wetknięty, dopełniały tego śmiesznego ubrania.

Młodszy był wysmukły, kształtnej postaci brunecik, o pełnym życia i ognia ciemnym oku, o wąsiku który zaledwie czarnym meszkiem zważy należało. Nosił na sobie mundur kadeta pruskiej armii, to jest kolet granatowy z czerwonymi wyłogami, długą kamizelę żółtego koloru z cynowymi guzami, wysokie buty palone po kolana i niezbędny harcab fałszywy, z tyłu głowy w włosy wpleciony, zawiązany w końcu czarną rozetą. Trzeba było w istocie być tak ładnym chłopcem jak hrabia Seweryn O., (starszemu na imię było Michał) aby w tym ubraniu, wierniej kopii stroju którego używał Fryderyk Wielki, nie wydać się śmiesznym i niezgrabnym.

Starszy brat, z całą śmiałością i łatwością, cechującą obojście fanfaronów owoczesnych względem kobiet, zbliżył się do pięknej kupcowej i oświadczył, iż mając zamiar kupienia jakiego podarunku na nadchodzące imieniny swjej siostry, prosi ją o dodanie konceptu i gustu w wyborze, i zaczął wraz z nią przepatrywać podawane przedmioty. Co się z młodszym w tej chwili stało, opowiedzieć trudno. Na widok wspaniałej jak królowa jubilerki, stanął jak wryty; twarz jego, zwykle blada, żywym zapłonęła ogniem, oko nabrało blasku. Po chwili stał się bladym jak chusta; zaszumiło mu i zadzwoniło w uszach; w oczach migają tysiące promieni; jakieś uczucie, zupełnie mu przedtem nieznanne, owładnęło całą jego osobą; serce poczęło bić gwałtownie, ale w niewypowiedziane miły sposób, — słowem hrabia Seweryn uległ pierwszemu, najmiłszemu, nigdy nie zapomnianemu atakowi tej choroby, którą medycyna się nie zajmuje, a którą nazywamy miłością.

Zanadto już autorowie wszelkich krajów znużyli cierpliwość swoich czytelników opisywaniem symptomatów tej choroby, abyśmy mieli iść ich śladem. Jest to uczucie, którego nikt określić nie zdoła. Kto nigdy go w życiu nie doznał, dla tego wszelka jego analiza będzie niezrozumiałą; ten zaś, któremu chociaż raz jeden serce niem zabiło, przyzna że najgenialniejszego nawet pióra opisy dostatecznie go nie wyrażają, zaledwo wspomnienie obudzić zdolne. To tylko powiemy, że Sewerynowi głos nadobnej Małgorzaty wydawał się jakąś nieznaną harmonią, godną sfer niebiańskich. Powietrze otaczające ją zdawało mu się przepełnione czarującą zmysły wonią; czuł że chwila ta postarzała go o wiek cały, że z dziecka odrazu stał się mężczyzną, ale sam nie umiał sobie z niczego zdać sprawy. Zupełnie bezwiednie, magnetyczną siłą popchnięty, korzystając z zajęcia kupcowej i brata towarem, przysunął się do stołu na którym zdjęta jej rękawiczka leżała i gwałtownie przycisnął ją do ust swoich; ale byłby mocno zakłopotany, gdyby mu przyszło wytłumaczyć się, dlaczego ta rękawiczka dostała się do jego kieszeni.

Niedziw więc że nie słyszał ani zważał na ciągłe zachwalanie towaru przez zręczną panią Justusową. „Podobne kolczyki nosi księżna podkomorzyna; taki pierścionek zamówiono dla księżny Polignac, damy dworu hrabiego Prowancyi; taką szpilkę wczoraj wzięła margrabina Vauban dla swojej siostrzenicy.“ Patrzył nie widząc, słyszał nie słuchając, i ledwo przyszedł cokolwiek do siebie, gdy go owionęło powietrze, gdy go ogłuszył turkot powozów i gwar uliczny, w którym jakim się znalazł sposobem, z trudnością byłoby mu przyszło odpowiedzieć.

## II.

W lat pięć blisko po tym drobnym, niedostrzeżonym dla nikogo, a dla Seweryna wiecznie pamiętnym zdarzeniu, wiele rzeczy odmieniło się w stolicy.

Na nowym świecie, w obszernym pokoju, widocznie na kwaterę francuską zajętem, siedziało kilkunastu młodych, świeżo zaciężnych, różnego stopnia oficerów. W liczbie ich znajdowali się i znajomi nam obaj bracia hrabiowie O.

Nieład jaki w pokoju panował, porozrzucane po ziemi poniterki, walające się tu i owdzie butelki po szampanie, wypróżniona, cała jeszcze okopconą wazą do ponczu, liczne kieliszki i szklanki, wszystko to świadczyło, że noc przepędzono na hulance i grze w karty. Pod wpływem tych usposobień, pan Alfons, rotmistrz

od złotych huzarów, rodzaj pieczeniara ciągle trzymającego się bogatych paniczów, perorował w najlepsze i uważnie przez młodzież był słuchany, bo umiał sobie wyrobić tę pozycją, że w sprawach honorowych, miłosnych, w kwestyach wynikłych z gry i handlu końmi, uważano go w jego kółku za wyrocznię.

— Powiadam wam więc, kochani koledzy, mówił podniesionym głosem p. Alfons, że między nami ukrywa się drugi rodzaj Józefa patryarchy, co wzgardził wdziękami Putyfary. Miłość jego jest czemś tak piramidalnem, niepojętem, pomnikowem, że miłość Leandra dla Hero przy niej gaśnie. Nie jest to miłość pospolita hrabiego Feliksa, nie jest to miłość hazardowna księcia P., która wdrapuje się do pokoju starościny, o czem wszyscy w mieście wiedzą, ani miłość wyrachowana barona N. Nie, moi panowie, dodał szydersko się śmiejąc, jest to miłość bez przykładu, bez antecedensów. Ale, dodał po chwili namysłu p. Alfons, ponieważ w naszym przyjacielskim kółku nie mamy najmniejszego interesu, aby cnota kwitła i aby między nami mnożyli się patryarchie, wnoszę więc, szanowni panowie, aby ten wzór niedoścignionego platonizmu, jeżeli wdzychań na czyny godne towarzystwa do którego należy w przeciągu miesiąca nie zmieni, z pośród nas był wykluczony, a przynajmniej na sprawienie nam kosztownego śniadania w ogródku na Faworach skazany.

— Brawo! brawo! odezwały się liczne głosy. Niech taka kara spotka tego, co żartuje z naszej kompanii.

— Ale któż to jest taki ten winowajca? spytało jednocześnie kilka głosów; niech wiemy.

— Oto hrabia Seweryn, odrzekł wskazując palcem p. Alfons, który, mówiąc nawiasem, wielkim był zwolennikiem cudzych a wykwintnych śniadań.

— Dlaczegoż, wołało kilku rzeczywiście zakochanych w godności i szlachetności Seweryna, dlaczegoż nam nie objawisz, kochany hrabio, chociaż imienia bóstwa, dla którego od lat pięciu wystawiałeś ołtarz w sercu swoim, jak się dowiadujemy?

— Dlatego, odrzekł ponuro Seweryn, że jest to imię kobiety świętej, którego nie chciałbym aby takie usta jak rotmistrza Alfonsa wspomnianiem plu-gawili.

— Patrzcie panowie, zawołał Alfons nieco urażony, chociaż do moralności nie miał pretensyi, mamy nową świętą w kalendarzu, z łaski hrabiego Seweryna.

Sprawa ta byłaby może przybrała drażliwy kierunek, możeby było przyszło do pojedynku, o co niesłychanie łatwo było w owym czasie, gdyby nie to, że ordynans wszedł do pokoju, uwiadamiając że konie już okulbaczone i godzina przeglądu zbliżona.

Tak zwani przyjaciele, koledzy, niebezpieczniejsi są dla nas od jawnych nieprzyjaciół, których się wystrzegamy ile sił naszych. Przycinki Alfonsa, pomimo że Seweryn osobę jego mało cenił, oddziaływały jednak na jego młodocianą i czystą duszę. Począł się wstydzic nieśmiałości swojej i całą noc przepędził bezsenne, wyrzucając sobie szlamazarność. Tytu, mówił do siebie, jest szczęśliwych zwycięzców kobiet, dlaczego ja jeden mam się dać za nos wodzić? jeszcze przez kogo? przez jedną mieszczkę, kupcową. Prawdziwie, muszę wyglądać na dudka przy niej z moją trwożliwością i dlatego nie mogę wzbudzić w niej wzajemności. Bądźmy, dodawał, śmieli, a wygrana nasza.

I postanowił, przy pierwszej sposobności wydarzonej, tego rodzaju szczęścia spróbować.

## III.

Bielany, szczególnie w dzień drugi Zielonych świątek, ileż ten wyraz zawiera wspomnień, życzeń, zawiedzionych nadziei, jak rozliczne, dla każdego niemal inne przybięra znaczenia! Bielany dla pobożnych wyobrażają odpust i odwiedziny cichiej zakonnej pustelni; dla dumających nad przeszłością zwiędzenie grobu Stanisława Staszica; dla kochanków przejażdżkę ułatwiającą ich porozumienie się i stonsunki; dla dzieci są blizkoznacznikiem objedzenia się piernikami i orzechami; dla młodzieńczej panienki polem pokazania nowego kapelusika; dla młodego eleganta rodzajem wystawy świeżej mody ubiorów letnich. Zgoła dla każdego prawie Warsza-

wiaka wyraz ten magiczny może przybierać najrozmaitsze światła i cienie, a to stosownie do potrzeb, usposobień i fantazji jego. Dawniej, gdy Bielany liczniej były uczęszczane, przywiązywano do ukazania się tam na przejażdżce czy przechadźce popołudniowej więcej wagi i wartości, niżeli w czasach późniejszych. Asystowanie stałe na tej przechadźce jakiej kobiecie, uważano jakby za hołd oddany jej publicznie, jakby za wpisanie się pod jej sztandary, wstąpienie w grono jej wielbicieli. Dlatego też pewno i nasz zakochany Seweryn ten dzień a nie inny obrał na zrealizowanie swoich planów, obmyślanych w długich, bezsennych nocach.

(Dokończenie nastąpi).

## Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości: „Przyjaciel Babilin,” komedia tłumaczona z niemieckiego. — „Takie wszystkie,” komedia tłumaczona z francuskiego.

Teraz komedia, jak orzech zgryzł.

U tych Francuzów wszystko jest komedią. „A to komedye, mości dobrodzieju,” mawiano dawniej u nas za lada śmiesznym wypadkiem. Były to prorocze słowa: przeczuwano czas obecny, wiedzano że dziś robotnicy dramatyczni będą sporządzać komedye z każdej drobnostki, z poślizgnięcia się, z fałszywego ukłonu, ze sprzeczki w salonie, z kradzionego frazesu, z czerwonego nosa pana Antoniego i przydługiej sukni pani Klary.

Takie też są i te dwie ostatnie komedye, które świeżo widzieliśmy na scenie. Widocznie teatr chce uprzętać trochę miejsca koło siebie i pospychać zaległości, przygotowując się do prawdziwie zajmujących nowości, które wkrótce zapewne ujrzemy.

O przyjacielu Babilin niewiele jest do powiedzenia. Przedstawiano w roku zeszłym na scenie naszą kilkoaktową komedią „O gdyby nie ja.” Główną tam rolę grał Chomiński. Bohaterem sztuki był człowiek, który przyjechał do przyjaciela, sądził że wpada na trop rozmaitych intryg, zdrad, przemieszkań, tracił głowę, nie wiedział co począć, a chcąc wszystko załatwić wedle serca i sumienia, wikłał tylko rzeczy i zrobiwszy chaos w domu, przekonał się nareszcie, że to wszystko istniało tylko w jego wyobraźni. Otóż przyjaciel Babilin, którą to postać Chomiński także arcy pocieszenie wystawia, jest jak gdyby skróceniem tamtej komedii. Wprawia się sam w dość śmieszne położenia, nuży, krząta, a zakatarzony i zmęczony podróżą, nie może ani chwili odpocząć.

Nie będziemy więc, powiększając te jego kłopoty, trudzić go zbyt naszą recenzją. Powiemy tylko, i będzie to po sprawiedliwości, że gra Chomińskiego ożywia całą sztukę.

Aktor to sumienny, dzielny rutynista i pracownik nielada, który wic jak gest, jakie skrzywienie rysów przyda się w danym miejscu. A pomimo tego rolę obmyśla starannie, nie spuszcza się na przeświadczenie o własnych siłach i z charakterów które mu się w udziale dostają, stara się zawsze coś nowego wydobyć.

Niezawsze jednak te charaktery bywają różnobarwne, i jeżeli są tacy, którzy skarżą się na jednostajność lub przesadę Chomińskiego, ci niechaj wiedzą że to nie jego ale ról wina. Skala niższego komizmu jest dzisiaj bardzo ograniczona. Tyle i na różne strony z niej brano, że trzeba się powtarzać z konieczności. I nie w tym dziwnego. Nad charakterem do wyższej komedii użytym, autor musi pomyśleć trochę; do farsy bierze co ma pod ręką. Wszystko dobre, byle śmiech wzbudzało...

I cóż artyści temu winni? Oniby radzi doprawdy widzieć przed sobą nowe pole, a nie spotykać się z rolą, w którą gdy mały palce się zapuści, zaraz na dno natrafi. Trzeba więc tę płaszczyznę wywatować humorem i wypikować jak się da konceptami, a jeżeli jednemu i temu samemu artyście przypadnie kilka razy ta niewdzięczna robota, gotowiśmy go niewłaściwie o manierę posądzić, dlatego tylko, że z próżnego nalać nie może.

A jednak Chomińskiemu i ta Salomonowa sztuka udaje się czasem, dowodzi zaś tego kilkoma kome-

dyami, które na własnych barkach utrzymuje w repertoarze.

W komedycie „Takie wszystkie” pomysł przynajmniej oryginalny, a na dzisiejsze ciężkie czasy i to coś znaczy.

Zdarzył się wypadek w Paryżu, że dwie kobiety, pokochawszy się w jednym mężczyźnie, pokłóciły się i wyzwały na pojedynek. Francuz powiedział sobie, że to mu się przyda do komedii i taki wyjątkowy wybrk fantazji lwic paryżkich ujął w ramy sztuki.

Silvia de Torellas Peruwianka i hrabina Arnouff Szwedka spotykają się w Ems, i poznają w sobie dwie współzawodniczki, walczące o serce hrabiego de Trany Paryżanina.

Te dwie kobiety, to ogień i woda. Peruwianka, fantastyczna, namiętna, słuchająca tylko popędów własnej woli, drwi sobie z więzów towarzyskich i układności światowej; Szwedka, limfatyczna, powolna, lubiąca wszystko regularnie i w samą porę czynić, stanowi zupełne przeciwieństwo charakteru tamtej.

A jednak iskra miłości, rzucona między obie te panie, ogień południowy i lód północny do jednego doprowadza mianownika.

Wyzwanie wychodzi od Peruwianki; Szwedka je przyjmuje, a bez sekundantów się obejda, gotowe obie na śmierć. Ale przychodzi im na myśl, że kula niezawsze zabija, czasem może pokaléczyć tylko i oszpecić. Myśl to prawdziwie kobieca, chociaż z fałszywego wyprowadzona stanowiska.

Kiedy więc rzecz idzie o załatwienie w jakibądź inny sposób sporu, bez narażenia się na niebezpieczeństwo rany, któraby szkodę urodzie przyniosła, ukochany zjawia się niespodzianie i potknąwszy się o próg sali, pada jak długi.

Śmiech jest wielkim lekarstwem. Śmiech rozbija i leczy.

Niema takiej wielkości, którejby śmieszność łatki przypłacić nie zdołała.

A i przeciw miłości, która jest tylko egzaltowaniem przymiotów ukochanej osoby, śmieszność jest straszną bronią.

Upadkiem swoim hrabia de Trany dał obu kobietom tę broń przeciwko sobie.

Jakże tu się kochać w człowieku, który tak pocieszenie wygląda?

Więc Szwedka i Peruwianka podają sobie ręce i możemy przypuszczać że będą z sobą żyły odtąd w najlepszej przyjaźni, dopóki im kiedy nie przyjdzie znów fantazja pokochać się obie w jednym.

Autor, uchwyciwszy ten drobny odcień kobiecego usposobienia, stawia zaraz dlań zasadę w tytule.

To trochę zbyt śmiało.

Są różne kobiety i różne miłości; zasady tu ogólnej stawić trudno, zwłaszcza jeżeli kto tak wyjątkowo kręśli postacie.

Na zeszkicowanych powyżej kontrastach dwóch charakterów kobiecych, panie Palińska i Niewiarowska oparły grę wypełniającą sumiennie intencją autora i ozywającą monotony trochę przebieg sztuki, umiejętnie ubarwionymi odcieniami.

Trzeba tu było trochę przesady, bo cała sztuka na niej jest głównie opartą i z niej żyje. Zato stanowczą chwilę obie artystki uwydatniły z harmonią, dowodzącą że umiejętnie obmyślana i staranna gra zawsze do jednych wyników doprowadza. Panu Tarkiewiczowi w jego malutkiej rolce szło głównie o usprawiedliwienie niespodzianego rozwiązania; dopełnił też tego z wielką naturalnością.

Wacław Szymanowski.

## Wycieczka na Łomnicę tatrzańską

26 lipca 1865 r.

Piętra się góry, olbrzymy stare  
Czoła swe kryją w porannej mgle,  
A skały, niby zamczyska szare,  
Snują się zdala na niebios tle.

W. C.

Jako Podolanin, nawykły tylko do widoku bezbrzeżnego morza łanów i łagodnie zatoczonych wzgórz, nie znałem gór, co potężnym swym uro-

kiem zdala przywabiają do siebie dzieci nizin. Już w pierwszych latach młodości obudziła się we mnie niestłumiona żądza poznania stron górskich, a podsycona ciągle przyjaznymi okolicznościami, zamieniła się wkrótce w niezachwiane postanowienie. Tatrę były główną mą myślą; w ich opisy, skrócone przez szczęśliwych zwiędzaczów, wczytywałem się z przyjemnością, z ciekawością też wpatrywałem się w ryciny tych olbrzymów; z jednych i drugich tworzyłem sobie obraz, który jednak, już to nie całkiem wierny, już to zbyt mglisty, daleki był bardzo od wspaniałej rzeczywistości. Cudów przyrody nie można sobie wymarzyć, trzeba je widzieć i słyszeć; ale wtenczas w podziwie człek oniemieje, z zachwytem będzie się długo i długo wpatrywał w wyraziste oblicze cudotwornej matki przyrody, zapomni o jednostkowym bycie swoim, rozplynie się uczuciem w jej ogromie, którego maleńkim jest pyłeczkiem.

Gdy po przybyciu do Krakowa pierwszy raz wsiadłem na tatrzańską kolejkę, widziałem w sobie nieśmiałość, która przywróciła mi na chwilę wspomnienie z dzieciństwa, gdy w młodości, w czasie wakacji, z rodzicami przyjechałem do Zakopanego, na kilkumiesięczną owadniczą wycieczkę.

Pomijam pierwsze wrażenie, jakie na mnie sprawiły te dzikie, a przecież piękne góry; to tylko dodam, że ogrom przeciwieństwa, jakie zachodzi między stepową wyżyną podolską, a górami, odbity w mej duszy, przewyższył niesłychanie wyobrażenie które sobie o nim utworzyłem. Czyj umysł żądny piękna i silnych, głębokich wrażeń, kto pragnie rozszerzać swą wiedzę o rodzinnej ziemi, ten niechaj śpieszy w Tatry. Tu dozna rozkoszy, która później jako miłe wspomnienie pojawiać się będzie w coraz to piękniejszych odcieniach.

Mimo ciągłych ślot, w czerwcu 1865 r. zwiędzałem pobliskie doliny tatrzańskie; ale dopiero przy pogodzie w lipcu odważyłem się na wyższe szczyty, po których zwiędzeniu zapragnąłem być także na Łomnicy. Wtém niespodzianą odbieram wiadomość, że szanowny mój profesor, dr. N., 23 lipca przybędzie do Szmeksu, na wycieczkę w najwyższe Tatry. W tymże samym celu miał tam równocześnie zjechać gorący lubownik przyrody, dr. Z. z Pesztu, który bawiąc przed kilku laty we Lwowie, mimo wielostronnych obowiązków swego urzędu, z najszczerzejszym zamiłowaniem oddawał się motylnictwu. Rozumiem się samo przez się, że tak dogodnej sposobności nie mogłem opuścić. A miałem w kilku dniach widzieć, co mają Tatry najwspanialszego. Zaopatrzywszy się więc w żywność i potrzebne przyrządy do połowu owadów, opuściłem z przewodnikiem Wałą Zakopane 20 lipca.

Chyżo minęliśmy głośnie Kuźnice, zwróciliśmy się za dworem na lewo (na wschód) i drożyną leśną wyszliśmy wnet na podłużny grzbiet Boconia. Tu powitały nas pierwsze krzewy kosodrzewu, a naokoło roztoczył się śliczny widok na daleką wyżynę Nowotarską, nad którą w dali kilkomilowej na zachodnio-północnym krańcu rozwieliła się, jak królowa Beskidu, wspaniała Babia-góra. Jej głowa, niezaczepona mgłą złowieszczą, zwróciła się pogodnym obliczem ku staremu Giewontowi, co, niby mur wysoki, broni wstępu do szerokiej doliny Kontratowej. Tuż pod nami, po obu stromo pochyłych stokach Boconia, rozciągają się dwie niewielkie doliny, których głębokie dna wyszłyte są jasnozielonymi kobiercami polan. Od północy jest to dolina Olczyńska, od południo-zachodniego boku dolina Jaworzynki, wrzynającej się pod samą Magórę.

Po chwili jużemy i na Magórze, wzniesionej nad poziom morza 5206 stóp według Zejsznera, a 5418 według pomiarów tryangulacyjnych. Obniżył się za nami Bocon i łyśa siostra Magóry, piękna Hala królowa. Tutaj przed oczami naszymi nowy wystąpił świat. Tuż pod nami roztoczyła się dolina

Gąsienicowych Stawów; za nią od wschodu rozłożyła się Wielka Koszysta (7010 stóp według rozmiarów tryangulacyjnych, 6950' według Koristki); przed nią śmiało się wzbijają, niby egipska piramida, Mała Koszysta nad Żółtą Turnią, co wzięła imię od złocistego porostu (*Lecidea geographica*), dalej ku południowi zębata Granat i Czarne Ściany, a bliżej pod samą Świnnicą, najwyższym, 7315 stóp wysokim szczytem w halach nowotarskich, ma być osławiona przełęcz Zawratu, który niby naumyślnie zakrywał nam Kościelec, zajmujący pierwsze miejsce w tym obrazie. Pobujawszy do woli nienasyconym okiem to po dzikich turniach, do których zmierzaliśmy, to po uśmiechających się mile pagórkach i dolinach Podhala, wziąłem się z Wałą do odwracania złomów wapieniowych, co od niepamiętnych czasów nieruszane od nikogo, w miękkie powbijały się trawniki Magóry. W nagrodę mych poszukiwań wlatywały wnet do flaszek szkosz (*Pterostichus fossilatus*), (1) dla miedzistego połysku zwany przez tutejszych górali miedziakiem, i inny czarny istny murzynek zimnych krain (*Pt. maurus*); rodowity Tatrzanin, nadobny ryjkowiec nadrach (*Otiorynchus granicentris*), z którym w ciągu całej mej wycieczki już się nigdy nie zdybałem; gdzieniegdzie gonił w trawie, cudnie ustrojonej maleńką szafirową goryczką śnieżną (*Gentiana nivalis*) i złocistym pięćperstem (*Potentilla aurea*), pospolity w halach, czarniawy, połyskowny malutki truchtak (*Trechus striatulus*).

Ku szalasowi Gąsienicowych Stawów (4973' n. p. m.) spuściliśmy się szybko, a niebawem przez złomy granitowe, wystające z ciemnej zieleni bujnie rozrosłej kosodrzewiny, wydostaliśmy się nad szumiący Poroniec, z kądem niezadługo doszliśmy do ostatniego progów nawalonych w dzikim bezładzie granitów. Ucichł gwarliwy potok, skorosmy się wspinając na lewo zwrócili.

Cudowny widok! Zabłysła czarna szyba; przedzierną się przez kosodrzew, a przedemną rozstąpiło się niby dno nieba, niby ziemi. To Czarny Staw! Cóż dorówna jego czarodziejskiej piękności? Dumny Kościelec, nurzający stopy swe w marmurówym zwierciadle, przegląda się w tajemniczych, zakłębionych głębiach, zalających powierzchnię 31 morgów i 1168 sążni kwadratowych, w wysokości 4888' n. p. m.

Okrążywszy północno-wschodni brzeg Czarnego Stawu, odwróciliśmy się ku południowi, wspinając się po granitowych urwiskach coraz wyżej a wyżej. Znikł już kosodrzew, nastąpiła kraina naga hal, a w kolo glazy i glazy, które tylko niestrudzone porosty szczerze odziewają. Wtém nowy widok. Spuściliśmy się nagle, niby w kotłynie, utworzoną przez ściany dokoła piętrzących się turni. Oko daremnie błądziło po rozrąganych, dziko ponad otchłanią spiętrzonych wierchach: wszędzie śniegi i szare granity. Wreszcie, wskazując przełęcz pod stromą Świnnicą, zapytuje Wali: „To pewnie Zawrat?” — „Tak, tymto żlebem będziemy się doń przez ten śnieg wydrapywać.“ Jużto jakoś się wylęzie, pomyślałem sobie, nieco zaniepokojony. Postępujemy trochę dalej; wtém nowa niespodzianka. Z poza turni wysunął się Staw Zmarzły; oblegają go dokoła pocerniałe miejscami płaty śniegów, chcących śmiertelnym całunem zakryć go przed okiem wdzierającego się tutaj wędrowca. Ze śniegów czasowo rozmarzających, ścieka tu ciągle ze wszystkich stron woda i tworzy nawet źródła o nadzwyczaj niskiej ciepłocie. Część tej kotłiny zostaje bezustannie w cieniu, słońce bowiem i w czasie południa za ledwie na chwilę zajrzeć tu zdoła. Mimo to jednak odżywia się tu uboga roślinność alpejska i przechowują się jeszcze niektóre chrabaszczki. Znalazłem tutaj kilka okazów szczypcy halnej (*Carabus glacialis*) w czarnej i brunatnej odmianie, wyszczerka nizinowego (*Notiophilus biguttatus*), czarnego szkosza (*Pterostichus maurus*) i niestrudka halnego (*Bembidium glaciale*); dalej napotkałem prześlicznej zielonej barwy sławka (*Morychus transylvanicus*), pluga (*Aphodius discus*) i wytrwałego Eskima Tatr zimnych, czarnego jak węgiel nadracha (*Otiorynchus monticola* var. *taticus*).

Po całogodzinym prawie wypoczynku, o odświe-

żonych siłach, puściliśmy się przez mokrawe od śniegu piorgi (2) ku Zawratowi, szczęśliwie wydrapaliśmy się po śnieżnej lawie, spadającej stromo w przepaść, a po kilku krokach ujrzałem się już na samej przełęczy Zawratu.

Przedemną rozwarła się nagle szeroko ponura, 6121' n. p. m. wyniesiona dolina Pięciu Stawów. Głęboko malowniczej doliny zalega niby tuż pod nami szare morze granitów, a pośród nich zwierciadła się czarne zakłębione wody trzech stawów. W kącie pod Świnnicą i najbliżej nas w nadzwyczaj dzielnym otoczeniu błyszczał się już rozmarznięty wówczas Staw Zmarzły czyli Zadni, mający 11 morgów 1149 sążni kwadratowych powierzchni. — „Gdzie reszta stawów?“ zapytałem niecierpliwie Wali. — „Ta turnica nam je zasłania; ale spuścimy się tylko hań za nią!“ — Za chwilę usiedliśmy na wierchołku skały, opadającej ze strony wschodniej stromo ku głębokiej dolinie. Teraz wystąpiła druga, śliczniejsza połowa obrazu, z którym zdawało mi się, że nie się w Tatrach nie zrówna. W głębi na południe, gdyby u stóp naszych, jaśniała już w krainie kosodrzewu ciemna szyba Stawu Wielkiego, największego z pomiędzy stawów tatrzańskich na stronie północnej, albowiem powierzchnia jego zajmuje 60 morgów 840 sążni kwadratowych, 5400' n. p. m. Między nim a Zmarzłym leży trzeci staw, także Czarnym zwany, o 22 morgach i 1077 sążniach kwadratowych powierzchni. Trochę dalej za Wielkim stawem wygląda mały Skrajny czyli Przedni, o 13 morgach, 595 sąż. kwadr. pow.; między nim wreszcie a Wielkim jest piąty staweczek, o 716 tylko sąż. kwadr. pow. Turnie za temi stawami, okryte mnogimi płatami śniegu, w milczeniu poważnym podniosły rozorane czoła, a opierając się silnymi barkami o dzikich jeszcze sąsiadów, zębata, potarganymi siodłami łączą się z szeregiem strzępatych wierchów, które murem olbrzymim dolinę Pięciu stawów dzielą od doliny Koprowy. Dalej od północnego wschodu wrzyna się zwarta w głębi, lesista dolina Roztoki, a zaraz ponad nami z tyłu groźnie zwieszają się od północy turnie Granatu, przez żadnego gościa dotąd nie zwiędzanego. (3) Tło tego czarującego obrazu zamykały najeżone iglice Tatr spiskich, w których wnętrzu nazajutrz miałem się znajdować.

Zstępując z Zawratu po pasznistym i mnogimi bryłami kamieni zasłanym upłazie pod Świnnicą, ujrzałem pierwszy raz w życiu cudowne gór ptaszę, siwego, o różowo zabarwionych lotkach pomurnika (*Tichodroma muraria*). Tu też, równie jak pod Zawratem w krainie grzbietów, złapałem jeszcze zielonego, metalowo połyskującego się pieszka (*Calathus metallicus*), na samej przełęczy Zawratu, znaną już szczypcę halną (*Carabus glacialis*), niestrudka halnego (*Bembidium glaciale*), pluga (*Aphodius discus*), czarnego, o siwych, szeregami ustawionych kropkach na pokrywach skrzydłowych i o czerwonawych nóżkach nadracha (*Otiorynchus niger*), a nawet i naszą ulubioną biedroneczkę (*Coccinella septempunctata*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

Działa olbrzymie nowej konstrukcji, angielskie, amerykańskie i pruskie. — Nowe spostrzeżenia Sacchi'ego nad plamami słonecznymi. — Przyrządy ogrzewawcze Anez'a. — Nadzwyczajne zjawisko obserwowane przez Maugeta i Cangiano we Włoszech południowych.

Ktokolwiek miał sposobność zwiędzenia ostatniej wystawy paryzkiej, podziwiać musiał między innymi niezmierny rozwój w udoskonaleniu machin wojennych, których wymiary i doniosłość przechodziły niemal pojęcie najśmielszej wyobraźni. Oddział angielski obejmował kolosalne działa systemu Armstronga, Withwortha i Blakley'ego. Dalej nieco zwracały uwagę paszce potworów z fabryki pruskiej Kruppa, z pomiędzy których wyróżniało się olbrzymie działo ze stali kutą, najciekawszy bezwątpienia okaz z całej wystawy mechanicznej, wa-

żące 123,282 funtów. Potrzebuje ono pocisku blisko 13 centnarowego i rzuca go niby piłkę na 13 wiorst, czyli innemi słowy, kula taka wyrzucona z Paryża, dosięgłaby Wersalu. Cena tego olbrzyma na 36000 rs. oznaczoną została; każdy z niego wyrzucony pocisk kosztuje 1200 rs. Okaz ten ma podobno bronić wejścia do portu Kiel przeciw statkom pancernym. W sekcji badeńskiej wystawy oddawano pochwały działom lekkim polowym, nabijanym od tyłu, a należącym do związku szwajcarskiego. Budowa ich, prowadzona przez Broadweela w Karlsruhe, przypominała system Kruppa, tylko naturalnie w miniaturowym. W udoskonaleniu machin wojennych Francja niewiele wyprzedzić się dawała; kolosalne jej działa, przeznaczone do uzbrojenia portu cherbourskiego, ważyły 370 centnarów.

To silenie się na powiększanie wymiarów machin wojennych, skierowanym jest głównie przeciw pancernikom. Wynalazek baterij pływających francuzkich, w 1856 roku, a następnie okrętów i fregat pancernych takiej wielkości jak Warrior i Gloire, spowodował całkowite przekształcenie artylerji, tak lądowej, jak morskiej. Od chwili gdy zaczęto zbroić statki wojenne w grube płyty żelazne, dla odparcia siły pocisku, rzucono się jednocześnie do budowy dział zięjących ogromne masy żelaza i wymagających do obsługi oddzielnych przyrządów mechanicznych. W tymże czasie artylerja polowa, systemu Napoleona III, wykazała niepospolitą wyższość dział żłobkowanych małego kalibru; bezwzględnie też gwint zastąpił gładki dotąd kanał w olbrzymich machinach pociskowych, a następstwem tej nowości była znów zmiana w przyrządzaniu kul, którym nadano kształt stożkowy.

Dla zadośćuczynienia różnorodnym wymaganiom, potrzeba było zbadać jaki metal lub stop (aliaż) składać mający działo wielkiego kalibru, odpowiada najlepiej warunkom trwałości; czy wnętrze armaty właściwiej było żłobić, czy też pozostawić je gładkiem; czy w nabijaniu użyć wypadało systemu przyjętego w broni odcylkowej; nakoniec jaki obmyśleć kształt pocisku.

Dawniej działa lano ze spiżu, \*) dziś już ów stop, z powodu swej słabej siły oporowej, prawie całkiem z fabrykacji usunięty został, równie jak bronz glinowy \*\*, który pomimo nadzwyczajnej trwałości, ulega wielu zmianom i jest zakosztownym materiałem. W najbliższych nas czasach, baron Bosthorn, rodem z Austrii, wynalazł stop tak zwany *metal-Sterro*; skład jego wszakże dotąd niedokładnie znany \*\*\*, nie pozwala z niego przemysłowi korzystać.

Odpowiednio do poczynionych doświadczeń, stal, żelazo lane i kute, połączone z rozmaitymi domieszkami metalów, stanowiły główny materiał, z którego dzwignięto straszliwe przyrządy zniszczenia. W tej mierze Ameryka, Anglia i Prusy konkurowały na wystawie o pierwszeństwo.

Wielkie działa amerykańskie lane z żelaza, przedstawiają wylot z 16 calową średnicą. Budowane według systemu Rodmana i Dahlgrena, rzucają pociski tysiąc funtowe, używając przytém do każdego naboju około stu funtów prochu. Ogromne działo mające służyć do uzbrojenia wieży pancernika „Purytanin“, ciskać może bryły żelaza przeszło dwanaście centnarowe. Pod względem wszakże wytrzymałości, żelazo kute ma niezaprzeczoną wyższość nad lanem; do fabrykacji też machin wojennych, w ostatnich czasach tak w Anglii jak i w Ameryce zastosowaniem zostało. Doświadczenia odbyte z działem olbrzymim Horsfall, jakoteż z działem budowy p. Ames Amerykanina przekonały, że mogą one przebijać najgrubsze pancerze. Manipulacja jednak z żelazem kutem jest zbyt długa i zbyt kosztowna, i dlatego w ostatnich czasach stanowiącą nad niem przewagę otrzymała stal lana pruska, wyrabiana w zakładach Kruppa w Essen.

Nikt z opisu nie potrafi sobie wyobrazić, jak ogromnych mas stali i jak licznych robót mechanicznych potrzeba do wyrobu dział, przeznaczonych do rzucania pocisków 300 i 500 funtowych. Zwróćmy uwagę choćby na to tylko, że po odlewie wypada

\*) Stop na to przeznaczony zawierał 90% miedzi i 10% cyny.

\*\*\*) Mieszanina 90% glinu (aluminium) i 10% miedzi.

\*\*\*) Według opinii Turgana metal Sterro składa się z 55,94 miedzi, 42,36 cynku, 1,77 żelaza i 0,83 cyny.

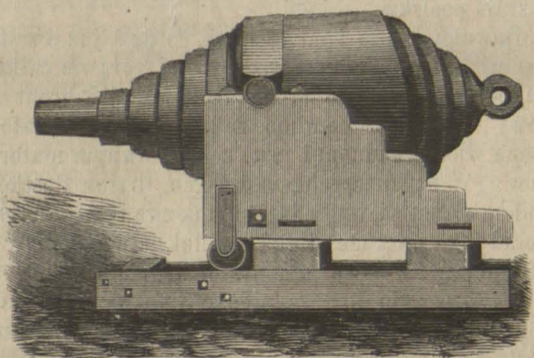
(1) Polskie nazwy chrabaszczów są wyjęte z dra. Nowickiego *Insecta Haliciae, Musei Dzieduszyckiani* Kraków, 1865

(2) Tak zowią Podhalańskie usypiska z drobniejszych kamieni.  
(3) Zeszłego lata zwiędził go prof. dr. Janota, z gimnazystą B. Gustawiczem i Maciejem Sieczką.

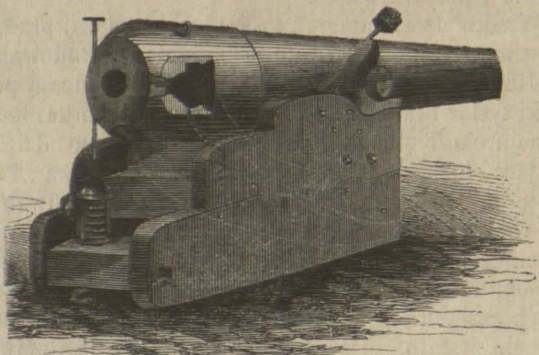
przewiercać stal narzędziami wyłącznie do tego zastosowanymi, które Krupp, po wielu latach mozołu, pracy i wysień, zebrać zdołał. Nowe jego przyrządy są też wprowadzane ciągle do zakładów metalurgicznych w Anglii.

Działa Kruppa nabijają się od tyłu. Tylec ma wręb, w którym porusza się rygiel skośnie do osi działa. Odsunawszy rygiel, wprowadza się do kanału armatniego pocisk i nabój prochowy przez część odtylcową. Po umieszczeniu kuli zasuwa się rygiel. Wewnątrz kanału znajduje się jeszcze miedziany pierścień, który wylata w chwili strzału. Osadzenie go ma na celu szczelne zamknięcie pocisku, a tym samym powiększenie siły rzutu. Prócz tego gwinty czyli wręby nie pozwalają uchodzić na zewnątrz gazom, powstającym przy eksplozji prochu.

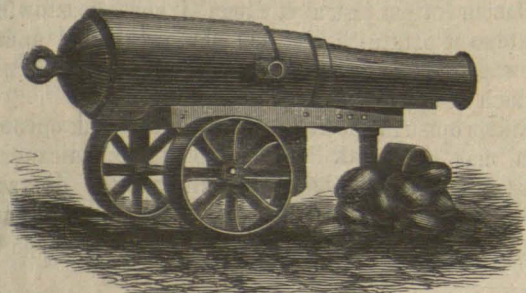
Rozpatrując pociski, znajdujemy wszędzie przyjętą formę stożkową, z wydrążeniem które proch wypełnia. Kule takie pękają, jak granaty, dopiero w chwili uderzenia o przedmiot. Najstraszliwsze są stalowe, jakie Krupp w zakładzie swym wyrabia. Mają one kształt cylindro-stożkowy i wzmocnione są pięcioma lub sześcioma obręczkami. Przeznaczone do przebijania pancerników, mają wewnątrz jamę zamkniętą stalową nakrywką, przymocowaną szrubą. Jama ta wypełnia się prochem, który zapala się bez lontu, skutkiem samego podwyższenia temperatury, wywołanej przez tarcie przy uderzeniu w pancierz. Pocisk przechodzi go nawskróś, pęka wewnątrz nieprzyjacielskiego statku i szczyty strasznie niszczenie. Zwróćmy uwagę, że pociski te, potrzebujące niekiedy centnarowego naboju, ważą trzysta, pięćset, tysiąc i więcej funtów, a wtedy przyznać musimy wynalazkowi temu potęgę prawdziwie piekielną. Koszt wyrobienia takiego pocisku dochodzi 400 franków, co, według obliczeń Turgana, koszt każdego strzału do 800 franków podnosi. Zaiste, wojsko pruskie mierzyć się może z każdym innym, mając pod ręką tak straszliwe maszyny.



Działo Armstronga



Działo pruskie Kruppa.



Działo Blakely'ego.

W Anglii pierwszeństwo dziś oddają działom pomysłu p. Blakely, rzucającym bryły siedmiocentnarowe i potrzebującym do naboju 70 funtów prochu. Z pomocą jednej takiej olbrzymiej armaty, Peruwianie obronili niedawno Callao od natarcia floty hiszpańskiej i wypłoszyli ją całkiem ze swego portu. Rząd angielski, wydawszy miliony na doświadczenia, przyjął obecnie system Blakely'ego w fabrykacji dział. Są one wyrabiane z żelaza kutego i następnie opasywane rzędem obręczy stalowych, co im niepospolitą wytrzymałość nadaje. Działa jednak tego wynalazcy nabijają się od wylotu; z uwagi bowiem, że doskonałość broni odtylcowej polega głównie na szczelności systemu rygielkowego, zabezpieczającego od uchodzenia gazów, co się niełatwo w praktyce udaje, Blakely wolał trzymać się raczej dawniej rutyny, niż narażać na zepsucie sztukę, której wyrób tak ogromne koszty za sobą pociąga.

Jeżeli obserwować będziemy słońce przez dobry teleskop, dostrzeżemy prawie zawsze na jego tarczy miejsca ciemne, zwane plamami słonecznymi, które odpowiednio do czasu zmieniają położenie, przyczem ich wielkość i liczba są bardzo rozmaite. Plamy te oddawna zwracały uwagę astronomów, usiłujących objaśnić to zjawisko różnymi hipotezami. I tak: wyobrażano sobie że powstają one z materii obłoczkowej, śród atmosfery górnej słońca wytworzonej i odrzucającej cień na światłokrąg. Według innych przypuszczeń, plamy pochodziły z rozdarcia światłokręgu, a przez wynikię ztąd otwory przeglądało ciemne jądro słońca. Objasnienia te jednak nie rozstrzygały pytania, skutkiem czego następuje owo rozdarcie. Porzucono więc dawną teorią, dowodzącą istnienia stałego jądra w kuli słonecznej, a natomiast przyjęto, że jej środek wypełnia płyn wrzący, który w chwili wypływu przedzięra się przez światłokrąg, będąc jednak mniej świetnym od niego. Po stronie tej ostatniej hipotezy, stanęło wielu astronomów, a pomiędzy nimi Secchi, dyrektor obserwatorium kolegium rzymskiego.

W celu bliższego zbadania tej ciekawej a trudnej kwestyi, Secchi z początkiem 1866 roku rozpoczął szereg drobnych obserwacji, dotyczących plam słonecznych. „Godnym jest uwagi, powiada on w swych spostrzeżeniach, że plamy w pierwszych dniach pojawienia się swego, posuwając się dalej, przyjmują ruch więcej prawidłowy, zwłaszcza gdy zaczynają przybierać kształt leja okrągłego; gdy zaś rozszerzają się nanowo, przed całkowitem zniknięciem posuwają się szybko naprzód. Ów ruch postępowy, odpowiedni zmianom w kształcie plam zachodzącym, objaśnia astronom rzymski przypuszczeniem: że warstwy wewnętrzne słonecznej kuli mają obrót różny, niezależny od siebie. Warstwy najbliższe środka obracają się, według jego opinii, z większą od innych szybkością. Ztąd wypływ gazów z wnętrza sprowadza na powierzchnię materje poruszane z większą szybkością od tej jaką posiada warstwa powierzchniowa, skutkiem czego otwór rozszerza się aż dotąd, póki owa szybkość nie osłabnie i z ruchem warstw powierzchniowych całkiem się nie zrówna. Jeżeli mogą się znaleźć wątpliwości, dodaje Secchi, to zapewne nie po stronie hipotezy którą przedstawiam. Teoria uważająca plamy za materję obłoczkową, nie wytrzymuje już dziś krytyki; poprzedzono na nią w czasie gdy narzędzia obserwacyjne nie posiadały odpowiedniej doskonałości. Nie znano wtedy teorii przycienia \*) i rozumiano, że wszystkie przycienie plam są jednostajne. Pozór ich jednak zawsze promienisty, z prążkami mniej lub więcej ziarnistymi, może być tylko objaśniony napływem prądów materji ze wszech stron cisnącej się w głąb. Wydatności górujące na obwodzie plam, popiérają ten wniosek.“

Spostrzeżenia te Secchi'ego nadają nową wagę teorii pochodzenia wulkanicznego plam słonecznych.

\*) Penumbra, po franc. penombre, cień rzucany w przestrzeni przez ciała niebieskie.

Kwestya ogrzewania pomieszczeń, należy niewątpliwie do najważniejszych zadań praktycznych; dotąd jednak, pomimo wynalazku najrozmaitszych przyrządów, mających zastąpić zwykłe piece, żadnej z nich prawie korzyści nie osiągnięto. Po staremu piec pozostaje na swym wyczekującym stanowisku, chociaż znane są jego szkodliwe wpływy na zdrowie. Najczęściej otrzymujemy z niego ciepło zbyt wysokie, chłoneące wszystką wilgoć z powietrza pokojowego, a tym samym osuszające nasze kanały oddechowe; z pieców zaś opalanych węglem kamiennym, wywiązuje się woń, pochodząca z gazów powstałych z niedoskonałego spalania, w skutek czego następują częstokroć silne zawroty głowy. Zdarza się też, zwłaszcza w domach budowanych z kamienia wapiennego, który długo w sobie wilgoć przechowuje, że piec prawie wcale nie ogrzewa. Zapatrując się na te wszystkie niedogodności, budowniczy Anez urządził kaloryfery, piece, kominki nasycone powietrzem gorącym, które nie tylko w dostateczne ciepło mieszkanie zaopatrują, ale nadto utrzymują w niem zawsze odpowiednią ilość pary wodnej, tyle dla zdrowia pożądaną. Powietrze gorące, przepływające w jego przyrządach, zanim dostanie się do pokoju ogrzać się mającego, przechodzi przez rezerwar z wodą, gdzie się wilgocią nasyca. Pomijamy tu szczegółową budowę rezerwaru wodnego, nadmienając tylko, że w skutek jego urządzenia, pomimo wysokiej swój temperatury 170° Cels. dochodzącej, nie może on ogrzać powietrza wyżej jak do 65° Cels. Powietrze gorące nasycone, jak je nazwał wynalazca, nie osusza wcale krtani, jak to bywa w mieszkaniach w złe piece zaopatrzonych, i nie parzy ręki wystawionej nawet na wpływ 120°, co by niezawodnie nastąpiło w powietrzu suchym, rozgrzanym do powyższego stopnia. W temperaturze nakoniec 100 stopniowej, nie zmienia bynajmniej materji organicznych, i rośliny z wszelkiem bezpieczeństwem w atmosferze takiej pozostawać mogą.

Przyrządy ogrzewawcze Anez'a zyskały przychylny sąd znawców na ostatniej wystawie paryskiej, czy zaś otrzymał za nie wynalazca nagrodę, nie podaje pismo z którego czerpiemy.

Mauget i Cangiano obserwowali w czerwcu roku zeszłego ciekawe zjawisko w Neapolitańskim i jego okolicach. Dnia 29 tego miesiąca, wody studienne, źródła, rzeki zmętniały naraz w całym kraju, przyczem znacznie obniżyły swój poziom. W tymże czasie ryby najrozmaitszego gatunku napelniające rzeki, żywo zaniepokojone, szamotały się na powierzchni wód w tak nieprzebraną masę, że łowiono je rękami bez żadnej trudności.

Na przestrzeni 104 mil kw., od Apeninów aż po wybrzeża neapolitańskie, źródła zanieczyściły się, astudnie przeznaczone do nawodniania gruntów wyschły. Toż samo zaszło w okolicy Sannio, na wyniosłej płaszczyźnie milę przeszło rozległej, w dolinie Sarno, w prowincjach Benevento, Avellino i Salerno. Zjawisko trwało przez kilka dni. Aby zaopatrzyć się w wodę czystą, ludność przymuszona była wiercić studnie do znacznej głębokości, lecz ilość jej nie odpowiadała potrzebie.

Dla dobrania się do wody, potrzeba było zapuszczać świder na głębokość od 108 do 163 stóp. Liczby te okazują, że zjawisko działało nie tylko na powierzchni, ale rozciągało się także do warstw głębiej położonych.

Te nadzwyczajne objawy przypisują badacze wielkiej katastrofie podziemnej, potężnemu wstrząśnieniu wewnątrz ziemi zaszłemu. Według ich opinii, skutkiem owego wstrząśnienia powstały w stoku Wezuwiusza wielkie rozpadliny, przez które wywiązuje się w ogromnej ilości kwas węglany pozatrzuwał ryby w wodach na tak szerokiej przestrzeni.

W. N.